



№ 50.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 grudnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Fryderyk Kaźmirz Skobel (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wystawa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych (dalszy ciąg). — Zwycięzca (drzeworyt). — Listy z podróży po kraju. — Przegląd polityki zagranicznej. — Stary dwór w Sadowiu (z drzeworytem). — R. bus. — Kronika zagraniczna. — Kronika paryżka. — Pojedynek szlachetnych, komedia (dok. Źczenie). — Szewkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Poradnik dla kupujących książki i nóty muzyczne. — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

FRYDERYK KAŹMIRZ SKOBEL.

Dnia 28 listopada r. b. liczne grono mieszkańców Krakowa odprowadziło na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki jednego z najzacniejszych ludzi, ś. p. F. K. Skobla, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego i członka czynnego akademii umiejętności, męża cichej a wytrwałej pracy, której owoce zjednały mu znakomite imię na całym obszarze kraju, a po części i między obcymi.

Fryderyk Kaźmirz Skobel urodził się 23 listopada 1806 r. w Warszawie, z ojca Daniela i matki Julianny z Kornów. Początkowe nauki odebrał w domu rodzicielskim, w r. 1813 po śmierci ojca udał się pod opiekę wuja do Lwowa, gdzie ukończywszy gimnazjum akademickie, przez trzy lata (1822—24) uczył się na wydziale filozoficznym, w uniwersytecie miejscowym.

W r. 1825 pojechał do Wiednia, w zamiarze przykładania się do nauk lekarskich. Przez dwa lata pobytu tamże, pracował nad naukami przyrodniczymi, anatomią i fizyologią, poczem w r. 1827 przeniósł się do Krakowa, tu w starożytnej szkole Jagiellońskiej w ciągu następnych lat czterech dokończył nauk lekarskich. Jako uczeń, należący do najzdolniejszych i najpilniejszych wychowanców wydziału lekarskiego, połączył się węzłem ścisłej przyjaźni ze swym kolegą Józefem Majerem, dzisiejszym prezesem akademii umiejętności w Krakowie i profesorem uniwersytetu, a przyjaźń ta, przez pół wieku prawie trwająca, nierozzerwana do zgonu, łączyła później nieraz obu przyjaciół we wspólnych pracach naukowo-piśmiennych.

W r. 1831, po złożeniu egzaminów, obydwaj przyjaciele w jednym dniu (12 stycznia) otrzymali bilet doktora medycyny i chirurgii, obracząc sobie do rozprawy doktorskiej jeden i ten sam przedmiot „O leczeniu kiły, czyli choroby sy-

filitycznej.“ Majer pisał o leczeniu tej choroby zapomocą rtęci, czyli żywego srebra; Skobel zaś: *O leczeniu kiły bez użycia rtęci, przy pomocy innych środków.* Rozprawa ta, jedna z najdokładniejszych i najobszerniejszych (zajmująca 145 stron), jakie uczniowie uniwersytetu kiedykolwiek pisali, skróślona w języku łacińskim, w r. 1833 została drukiem ogłoszoną.

Otrzymałszy stopień naukowy, obaj przyjaciele, wraz z wielu innymi współtowarzyszami, pośpieszyli na pole szerszego działania, jako lekarze

praktyczni, z kąd powrócili, z bogaciwszy swą wiedzę zasobem doświadczenia, zebranego w szpitalach. W Krakowie wkrótce obydwaj zajęli zaszczytne miejsca profesorów téjże samej szkoły, w której niedawno nauki pobierali.

Dr. Skobel, po odbytych chlubnie konkursie, w r. 1834 mianowany został profesorem patologii i terapii ogólnej, oraz farmakologii i farmakomorfiki z katagrafologią, do których w r. 1859, po usunięciu się w stan spoczynku ś. p. profesora Floryana Sawiczewskiego, przybyła farmakognoza i farmacja praktyczna (*), którą dobrowolnie podjął się wyklądać uczniom, aby im ułatwić zrozumienie katagrafologii. Prócz tego wykładał propedeutykę lekarską czyli hodegetykę, naukę podającą uczniom wstępującym na wydział lekarski ogólny zarys wiadomości przygotowawczych, lekarzowi potrzebnych. Przez lat kilka nauczał téż historii medycyny. Tak obszerny zakres nauk przezeń wykładanych, które w uniwersytetach zagranicznych podzielone są między kilku profesorów, wymagał niemałej pracy i wytrwałości. Ś. p. Skobel siedł téż naprzód, wraz z postępem nauki; żadna z nowszych prac na jój polu nie była mu obcą, z każdej to, co uważał za pożyteczne, starał się obracać na korzyść swych uczniów, o ile czas i sposobność, przy ograniczonych środkach naukowych, na to pozwalały.

Chcąc ułatwić uczniom uczenie się przedmiotów które wykładał, w r. 1851 ogłosił drukiem szczegółowy i dokładny: „Wykład farmakomorfiki i katagrafologii“, a w pięć lat później przyswoił językowi naszemu obszernie i cenne dzieło doktora



Fryderyk Kaźmirz Skobel. (Podług rysunku z natury Tytusa Maleszewskiego).

(*) *Patologia*, nauka o zmianach i objawach w stanie chorobowym. — *Terapia*, nauka o sposobach leczenia. — *Farmakognoza*, opisuje cechy leków. — *Farmakologia* mówi o ich działaniu. — *Farmacja* uczy, jak leki należy przyrządzać. — *Farmakomorfika* zastanawia się nad postaciami, w jakich leki zadajemy. — *Katagrafologia* uczy sposobu przepisywania leków.

Richtera, profesora akademii lekarskiej w Dreźnie, pod tytułem *Wykład terapii fizyologicznej*, w 2 tomach, zbogaciwszy takowe obszernymi własnymi przypisami. W ostatnich latach życia pracował nad napisaniem dokładnego dzieła do wykładu farmakologii, którego jednak dokończyć śmierć mu nie dozwoliła.

Objawszy w r. 1859 pod swój zarząd *gabinet farmakognostyczny* przy uniwersytecie, założony około r. 1830 staraniem Jul. Sawiczewskiego, zbogacił takowy znakomicie, uporządkował i w r. 1864 w piśmie zbiorowym, wydanym przez Tow. naukowe krakowskie na uczczenie pamiętki pięćsetnego istnienia uniwersytetu krakowskiego, pod tytułem *Zakłady uniwersyteckie w Krakowie*, opisał.

Jako profesor, życzliwością, łagodnością i uprzejmym obejściem, a przytém ojcowską niemal troskliwością o dobro i powodzenie swych uczniów, którym atoli w razie potrzeby nie szczędził nauk i napomnień, jeżeli to uważał za potrzebne — zjednał sobie powszechną miłość i szacunek. To też zapewne wszyscy żyjący dzisiaj wychowawcy wydziału lekarskiego w akademii Jagiellońskiej, którzy w ciągu ostatnich lat 40 pobierali w niej nauki, ze smutkiem dowiedzą się o jego zgonie. Również szanowanym był i przez kolegów, profesorów uniwersyteckich. Sześciokrotnie obierany dziekanem wydziału lekarskiego, w r. 1869 został wybranym na rektora uniwersytetu Jagiellońskiego, a zarazem był posłem na sejm krajowy, we Lwowie odbywany.

W r. 1874, gdy miało nastąpić uroczyste otwarcie świeżo założonej szkoły głównej w Zagrzebiu (Agram) w Kroacji, s. p. Skobel udał się tam jako przedstawiciel uniwersytetu Jagiellońskiego i obrzęd ten w rozprawie pod tytułem: *Pamiętnik uroczystości otwarcia szkoły głównej w Zagrzebiu*, d. 19 października 1874 zamieszczonej w Przeglądzie lekarskim, opisał. Zamilowany w nauce, pierwsze swe prace piśmienne w latach 1835—1838 zamieszczał w pismach zbiorowych, podówczas w Krakowie wychodzących: w *Pamiętniku naukowym*, *Pamiętniku powszechnym nauk i umiejętności* i *Kwartalniku naukowym*. Tu należą rozprawy: *O chorobach właściwych rozmaitym narodom kuli ziemskiej*, *O pojęciu choroby ze stanowiska filozofii natury*, oraz *Uwagi nad niektórymi wyrazami lekarskimi* i *Objaśnienia do tychże*. Ostatnie opracowane były wspólnie z doktorem Majerem.

W r. 1837, gdy grono profesorów wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim postanowiło wydawać pismo zbiorowe, pod nazwą *Rocznika wydziału lekarskiego*, prof. Skobel był jednym z najgorliwszych jego współpracowników i w ósmiu tomach, wydanych w latach 1838 do 1845, zamieścił w nim liczne rozprawy, mianowicie z zakresu farmakologii i terapii, jak: *Projekt armakopei dla szpitali krakowskich* (1842). *O użyciu lekarskim wody morskiej* (1840). *Porównanie wód lekarskich robionych z rodzinnymi* (1844). Z zakresu dziejów lekarskich: *Wspomnienie o życiu i pracach A. J. Czerwiakowskiego* prof. u. J. (1838). *Wiadomość o stanie wydziału lekarskiego w szkole głównej krakowskiej, za rządu austriackiego* (1842) i *Wiadomość o stanie wydziału lekarskiego od r. 1809 do 1817* (1843). Wreszcie z zakresu słownictwa pracę dokonaną wspólnie z doktorem Majerem: *Słownik anatomiczno-fizyologiczny łacińsko-polski* (1838).

W tém miejscu nadmienię o pracy nader pożytecznej dla uczniów wydziału lekarskiego, posiadających się, przy braku prawie zupełnym dzieł lekarskich w języku polskim, dziełami pisanymi w języku niemieckim, wydanymi w r. 1842 wspólnie z prof. Majerem, pod tytułem: *Niemiecko polski słownik wyrazów lekarskich*; oraz o drugiej, wydanym znacznie później, gdyż w r. 1868, a dokonanej wspólnie z doktorem Aleksandrem Kremerem, p. t. *Słownik łacińsko-polski wyrazów lekarskich*. Przy układaniu dodatków do wspomnianego dzieła, przez komisję ku temu celowi z grona Towarzystwa lekarskiego wybraną, w latach 1874 i 1875 czynny brał udział.

Gdy Towarzystwo naukowe krakowskie, zreorganizowane, zaczęło wydawać nową seryą *Roczników wydziału lekarskiego*, prof. Skobel za-

mieszczal w nich swe prace. Tu, prócz odnoszących się do zakresu balneologii, o których poniżej wspomniamy, należą: *Wiadomość o życiu Fryderyka Heckla*, prof. u. J. (1852); *Żywot Sebastjana Girtlera* prof. wydziału lekarskiego (1869), oraz *Rzecz o równoważnikach farmakodynamicznych dla głównych składników wód lekarskich* (1861).

Gdy Towarzystwo naukowe postanowiło od nowego roku 1862 wydawać osobne czasopismo lekarskie, p. t. „Przegląd lekarski,” s. p. Skobel wszedł do składu redakcyi i pozostawał w niej przez lat 10, czyli aż do czasu przejścia wydawnictwa wręce Towarzystwa lekarskiego, lubo i później nie przestał go zasilać swemi cennymi pracami. W piśmie tém, prócz licznych rozbiórów krytycznych nowszych dzieł lekarskich, odznaczających się ścisłością i sumiennością, zamieścił rozprawy: *Wiadomość o Towarzystwie lekarzy polskich w Paryżu* (1862 i 1868). *Gleichenberg w lecie 1863*. *Wody lekarskie w Szlązku rakuzkim 1864*. *Jaworze* w r. 1871. *Rzecz o działaniu i skutkach zimna* (1862). Wreszcie *Żywoty zasłużonych profesorów wydziału lekarskiego w u. J.*: Jerzego Ch. Arnolla, Ludwika Bierkowskiego, Józefa Jakubowskiego, Franciszka Kosteckiego, Józefa Kwaśniewskiego, oraz Ludwika Gąsiorowskiego, autora cennego dzieła „Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce“ (1874). Tu wreszcie zamieścił rozprawę *Projekt zaprowadzenia statystyki lekarskiej w kraju naszym*, odczytaną na pierwszym posiedzeniu publicznym zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, podczas którego był przewodniczącym oddziału medycyny publicznej.

Gdy w r. 1858 zawiązała się w Towarzystwie naukowym krakowskim komisja balneologiczna, której zadaniem było podniesienie zdrojowisk krajowych, owego bogactwa narodowego, którem Opatrzność kraj nasz tak hojnie uposażyła, Skobel był jej pierwszym przewodniczącym, i wówczas, prócz *Zdania sprawy z czynności komisji balneologicznej*, dokonanych w r. 1858, zagałę pierwsze zgromadzenie balneologów krajowych piękną przemową, obejmującą *Pogląd na stan zdrojowisk krajowych*.

Później, objeżdżając różne okolice kraju ojezstego, badał nowo-odkryte zdroje i podawał o nich szczegółowe i dokładne wiadomości, dla użytku ziomków. W ten sposób zbadał z wód krajowych: *Zdroje słono-jodowe w Rabce*, *Letnie źródło w Jaszczurówce w Tatwach*, oraz *Szczawny słono-alkaliczne w Cynielce*, i opisy ich w *Rocznikach Tow. n. kr.* umieścił.

Z zagranicznych opisał wody żelaziste w *Chudobie*, czyli Kudowie w Szlązku pruskim, *Gleichenberg* i kilka zdrojowisk w Szlązku austriackim, oraz *Jaworze* (Ernsdorf), w ostatnich czasach ulubione miejsce pobytu w porze letniej, położone w Szlązku austriackim, niedaleko miasteczka Bilska. Opisy wymienionych miejscowości znajdują się w *Przeglądzie lekarskim*. Tu też należy kilka rozpraw o wodach treści ogólnej, już powyżej wymienionych.

Większa część prac s. p. Skobla, zamieszczonych w pismach zbiorowych, wydana również została w osobnych odbiciach.

Gdy Orgelbrand w r. 1859 zaczął wydawać swoje Encyklopedyą 28-tomową, s. p. Skobel był czynnym jej współpracownikiem i zwłaszcza w pierwszych 14 tomach wszystkie artykuły z zakresu patologii, terapii, farmakologii i balneologii pochodzą z pod jego pióra.

Do wykładów historii medycyny była mu bardzo pomocną gruntowna znajomość języków starożytnych, zwłaszcza łacińskiego, którym mówił klasycznie. Również znał dokładnie język niemiecki, w którym przez lat kilka z katedry wykładał.

Do ulubionych przezeń przedmiotów należała również historia powszechna, a zwłaszcza historia kraju rodzinnego. Wczytując się uważnie w dzieła wzorowych pisarzy polskich złotego wieku literatury naszej, poznał ducha języka polskiego. To też razily go wszelkie usterki przeciw jego czystości tak pod względem wyrażań, jakoteż pisowni i stylu, tém więcej, że to skażenie za-

częło się jak zaraza coraz dalej szerzyć i z początku ograniczając się do mowy potocznej, oraz pism urzędowych, przeniosło się do dzieł nawet znakomitych autorów, a wreszcie stało się prawie panującym w czasopismach miejscowych, w tysiącach egzemplarzy po kraju się rozchodzących.

Z początku krótkie uwagi pod tym względem umieszczał niekiedy w czasopismach; później, razem zebrane w jedną całość, wydał w r. 1870 p. t. *Uwagi i spostrzeżenia o skażeniu języka polskiego w dziennikach i mowie potocznej, osobliwie w Galicyi*. Dziełko to w ciągu lat czterech doczekało się trzech wydań, co świadczy o uznaniu, z jakim zostało przyjętym. W r. 1874 wyszedł drugi poczet uwag, trzeci zaś właśnie obecnie się drukuje.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

K r a j o w a.

I cóż?... nie mamy powodu uskarżać się na brak muzyki? Koncert za koncertem, wirtuoz po wirtuozie wstępuje na estradę, bierze daninę z... oklasków i odchodzi w przekonaniu, że Warszawa, jeśli ma sławę niepospolitą muzykalności, to również posiada przymiot niezbyt wygórowanej gościnności. Albowiem prawdą jest, że na dziesięć koncertów jeden przynosi koncertantowi jakąś drobną korzyść pieniężną, a pięć zaledwie się oplaca.

Inaczej też być nie może. Nie chcemy twierdzić iż muzyki i popisów mamy do zbytku, ale pewnikiem jest, że pieniędzy nie posiadamy nad miarę. Czyby więc nie było dobrze, aby panowie artyści, nie mogąc pojedynczo na występach swoich z... skiwać, łączyli się do wspólnego działania i urządzali koncerty zbiorowe? Bogaty program, sposobność usłyszenia kilku naraz znakomitości — toć to ponęta bardzo silna, silniejsza nierównie od tej, jaką sprawia nawet popis pierwszorzędgo wirtuoza, na tle programu błędnego i w towarzystwie sił pomniejszych.

Mówiąc o koncertach, godzi nam się zanotować fakt wykonania Moniuszkowskiego arcydzieła, „Widm.“ Przepiękny ten utwór, tak silnymi barwy obiekajacy słowa wieszcza, zbyt długo zalegał pole; wykonanie więc jego policzyć się godzi do uroczystości. Niestety jednak, z innych względów wykonanie to raziło lekceważeniem i nieogłębnością, z jaką do niego przystąpiono. Całość szwankowała bardzo na braku jednolitego kierunku, a fala tonów płynęła na los szczęścia... Dowodzi to, że między pokierowaniem dajmy na to... „Traviatą“ a „Widmami“ ogromna zachodzi różnica i że tym ostatnim przewodzić winna pałeczka dyrekcji, pojmującej, a nade wszystko odczuwającej piękne i głębokie myśli autora.

Miło nam także zapisać powodzenie, jakiego doznał p. Zarębski fortepianista na środowym swoim koncercie. Miło również zapowiedzieć niedaleki popis p. Śmietańskiego, także fortepianisty i profesora konserwatorium w Wiedniu, gdzie przed niedawnym czasem artysta ten dał koncert, zyskując oklaski i gorące pochwały tamtejszej krytyki.

A w przyszłości... w przyszłości czeka nas znowu cały szereg gotujących się koncertów, w celach dobroczynnych i niedobroczynnych... Albowiem zapisano jest w wyrokach losu, iż rok bieżący i początek przyszłego staną się szczytem naszej muzykalności — oby tylko nie naszej... goliżny jednocześnie!

I jeszcze z dziedziny sztuki tonów.

Pani Jakowicka, dzielna i pierwszorzędna śpiewaczka, szukająca sławy i powodzenia na scenach włoskich, w ciągu ubiegłego tygodnia po czterykroć wystąpiła na scenie warszawskiej. Żydówka, po dwakroć Halka i Norma były dla niej polem

popisu przed publicznością tutejszą, gorąco oklaskującą śpiewaczkę, a pragnącą szczerze słuchać jęj stale.

Nie tak to łatwo jednak przestąpić Rubikon, oddzielający pragnienia od spełnionych życzeń. Scena nasza jest świątynią, niedostępną dla profanów, niewtajemniczonych w jęj misterya. Pozycyę tę trzeba zdobywać szturmem, a bronią jęj względy i względziki, z których najważniejszy jest ten, iż sztukę u nas... zaarendowano. A kto ją raz zaarendował, ten może śpiewać jak zdartą pozytywka, chodzić po scenie jak w szlafroku i pantoflach, nie robić sobie nic z najslusniejszych wymagań publiki i bronić się od stracenia wygodnej pozycyi, choćby... intrygą.

Pani Jakowicka pojedzie więc znowu do obcych, aby śpiewać z obcymi. Tam oklasków i sławy wystarczy dla nięj i dla drugich. Żegnamy ją tedy... lecz słowami: „do zobaczenia!”

Obecna pora obfituje w wydania dla młodzieży. Spiją się książki i książeczki, zajmujące i nauczające, zarysowane i zamalowane, zdobne w piękne lub pokaźne tylko okładki, a śród tego wszystkiego tkwi ziarno posiewu na przyszłość, dla nauki i moralności społeczeństwa.

Jakżeby to było pięknie, gdyby wszyscy ci, co przykładają dłoń ochoczą do tęg umysłowej pracy dla młodego pokolenia, istotnie podejmowali ją w celach przyniesienia mu zdrowego ziarna! Tymczasem wiele jest u nas książek takich, których zewnętrzna szata ma zastąpić wewnętrzną wartość, często dosyć problematyczną. Dzieje się i tak, że sama książeczka jest tylko pozorem do wydania ładnych obrazków. Znadto się tęg nieraz przywiązuje wagi do troskliwości o przyozdobienie tego, co w gruncie czczem jest i lichem, a czasem znowu najpiękniejszą myśl autora, najszlachetniejszą jęgo intencyę psuje wykonanie niezręczne, i, co najfatalniejsza, język okalęczały, storturowany błędami...

Ta ostatnia wada jest bardzo ważną i jęj to nade wszystko autorowie książek dla młodzieży wystrzegać się powinni. Najpiękniejsze i najpożyteczniejsze dziełko, wadliwe pod tym względem, zasługuje bezwarunkowo na potępienie krytyki. Ze słabęj nawet pracy, jeżeli wady tęg się ustrzegła, jeszcze czytelnicy tęg chociaż korzyść odnieść mogą, że uczą się z nięj prawidłowego używania języka, a tęg nauki nie mamy doprawdy do zbytku.

Wyszła świeżo z pod prasy książeczka p. t. „Praca bogactwem,” przeznaczona dla dzieci, napisana przez p. Izdebską, a wydana nakładem Ungra i Banarskiego. Zasadniczą myślą autorki było wykazanie tęg niezachwianęj prawdy, że praca daje zadowolenie moralne, że jest głównym środkiem samopomocy, że może zapewnić byt i stanowisko—i przeciwnie, że próżniactwo ze wszystkiego tego odzięra, pchając w przepaść nędzy materyalnej i moralnej. Myśl piękna, przeprowadzona w pracy p. Izdebskiej zręcznie, w akcyi bardzo interesującej, która z dziełka tęg czyni moralnie nauczającą opowieść.

Autorka umie przemawiać z prostotą, opowiadać gorąco, umie się ustrzedz nudnych moralów—jest więc poczytną. Zaletą to niemała, a nawet pierwszorzędna, z którą tylko niezupełnie harmonizuje język trochę chropowaty, chociaż czysty, z trudnością nalamujący się do toku opowieści. Zwracamy tęg baczność p. I. na tęg stronę jęj pracy, w nadziei że przyszłe jęj utwory i pod tym względem od zarzutu będą wolne.

Czytając jęj młodzieży piękną tęg powiastkę polecamy serdecznie.

Szczegółowe rozpatrzenie pozostałości literackiej po Fredrze pokazało, że jest ona, zgodnie z nadziejami ogółu, obfita. Oto szczegółowy wykaz. Wierszem: dwie komedye pięcioaktowe; jedna czętroaktowa, jedna jednoaktowa i obraz w jednym akcie; prozą: komedya jedna w pięciu

aktach, jedna w czętrech, trzy w trzech, czętery w jednym akcie, jedno intermezzo, jedno przysłowie i jedno libretto—razem prac siedemnaście, które mamy usłyszeć i obaczyć w ciągu trzech lat następnych.

Obecnie hr. Fredro Aleksander (syn) bawi w Warszawie, w celu zawarcia umowy z dyrekcją teatrów tutejszych, co do przedstawienia tych prac genialnego pisarza. Poprzednio już komitet, do rozpoznania tęg spuścizny zebrany, ustanowił porządek w jakim przedstawienia odbywać się mają, a następnie zajmie się i obmyśleniem wydawnictwa pozostałych prac Fredry.

Przybędzie więc sztuce i literaturze naszęj niepospolity nabytek.

Drzeworytnictwo u nas z każdym dniem zyskuje na samodzielności. Przykład *Drzeworytni warszawskiej* zachęcił do naśladowania, bo nauczył że sztuka ksylograficzna może liczyć u nas nietylko na zapotrzebowanie miejscowe. Rzeczona drzeworytnia wykonywa mnóstwo robót do cesarstwa, a mimo to odchodzi tam od nas wiele jeszcze drzeworytów, użytych już przedtęm na miejscu.

Nie należy tęg weale do rzadkości, że redakcyę wydawnictw zagranicznych żądają przesyłki drzeworytów z pism warszawskich. *Tygodnik* nasz pod tym względem oddawna zostaje w stosunkach z wydawcami obcymi, a zbyt drzeworytów jęgo jest nawet dosę obfitym.

Uwagi te nastrożyła nam okoliczność, świadcząca że drzeworytnicy nasi dobrze to rozumieją. Oto w tęg chwili właśnie panowie Styfi i Zajkowski, chlubnie znani z prac swoich, pomieszczeni w „Kłosach,” których w części drzeworytniczej byli filarami, zakładają pracownię na własną rękę i odtąd samodzielnie działać będą.

Witając życzliwie ten nowy przybytek pracy, pragniemy jednak wypowiedzieć myśl pewną, która zdaje nam się ważną. Oto lękamy się czy pracownie drzeworytnicze, ześrodkowujące w sobie siły różne, a mające na celu interesa spółki, nie staną się prędzej lub później zakładami pracy fabrycznej. Opracowywania zbiorowe jednego i tęg samego drzeworytu znajdują się tam na porządku dziennym, samodzielność pracy zniknie, a zostanie tylko robota szablonowa.

Czy obawa nasza jest płonną, czy tęg uzasadnioną, niedaleka przyszłość wykaże jaśnieję i dobitnieję. Wypowiadamy ja... dla przestrogi naszyc drzeworytników.

Zeszłego poniedziałku liczny orszak pogrzebowy odprowadził do grobu zwłoki ś. p. Aloizego Stolpego, który zmarł w d. 1 b. m.

Nieboszczyk od lat kilku był już emerytem, jako artysta sceny warszawskiej, lecz mimo to pracował dla nięj prawie do ostatnieję chwili życia.

Stolpe należał do aktorów tęg pokroju, którzy kształcą się w sztuce ciągle, pracy dla nięj nie powierzając natchnieniu szczęśliweję tylko chwili. Ządto w grze jęgo widniały zawsze objawy prawidłowych stadyów, nabyteję trudem długoletnim rutyny i dobreję szkoły, którą podobno odbył jeszcze pod Kudliczem. Chociaż więc nieboszczyk nie wywalczył sobie stanowiska pierwszorzędnego na scenie, był przecięz działaczem jęj bardzo pożytecznym.

Wspomnienie po sobie, jako człowiek i kolega, pozostawił życzliwe i chlubne. Cichy, spokojny, daleki od zakulisowego wrzenia, którego celem najmniej bywa sztuka, nikomu się nie narażał, a wielu nieraz dopomógł radą i czynem.

Życiorys Stolpego pomieszciliśmy, z okazji otrzymania przez niego emerytury, jeszcze w r. 1871, w numerze 205 seryi II. Tam to odsyłamy czytelników, ciekawyc szczegółów z życia nieboszczyka, który dobrze się zasłużył sztuce i scenie krajowej. Pokój ceniom jęgo!

Pan Jeleński, czynny bardzo pracownik na polu społeczno-literackim, wydał w tyc dniach nową swą pracę, p. t. „Żydzi, Niemcy i My.” W broszurce tęg poruszona jest kwestya zasadnicza naszego bytu społecznego, która w rozumowaniu p. Jeleńskiego przedstawia się dosyć smutnie. Pragnęlibyśmy gorąco, aby to przedstawienie rzeczy było tym razem mylne, jednostronne... inaczęj bowiem kwestya stosunku Żydów i Niemców do krajowców kazalaaby istotnie stawiać horokopy zastraszające, a przyszłość malowalaaby się w barwie nazbyt czarnej.

Wynikiem pracy pana J. jest zdanie, że Żydzi, którzy tylko w małej części istotnie są dziś użytecznymi członkami społeczeństwa, jeśli nie spotkają przeciwdziałania energicznego i skutecznego, społeczeństwo to do ruiny doprowadzą. Co do Niemców, tyc wzrost liczebny, z każdym rokiem większy w kraju naszym, a szczególnieję w powiatach nadgranicznych, grozi nam wywłaszczeniem z ziemi, zabija przemysł miejscowy na rzecz przemysłu obcego i wyzyskuje siły żywotne ludności, na korzyść interesów nam nieprzyjanych.

Praca p. Jeleńskiego wymaga bardzo szczegółowego rozbioru, na który nie tutaj miejsce. Niemniej przeto, choćby była tu i owdzie w rozumowaniach i wnioskach błędna, zasługuje na rozpowszechnienie już dlatego, iż dotyka kwestyi ważnej, której wszechstronnie przyjrzeć się godzi.

Z a g r a n i c z n a.

Nadasłane nam z Wiednia *Sprawozdanie z czynności stowarzyszenia akademickiego „Ognisko,” za rok 1875/6* świadczy wymownie o pomyślnym rozwoju tęg instytucyi, mającej za cel wzajemną pomoc braterską, zachęte do pracy i nauki, nade wszystko zaś opieranie się zjednoczonymi siłami wpływowi obczyzny.

Stowarzyszenie istnieje od lat jedenastu. Liczba członków jęgo zwyczajnych (nie licząc 67 honorowyc i wspierających „Ognisko,”) w ostatnim roku ze 108 wzrosła do 160. Podobnieję majątek instytucyi podwoił się prawie, bo ze złr. 555 kr. 71 doszedł do złr. 1056 kr. 41. Czytelnia w roku zeszłym liczyła tomów 513, obecnie 818. Czasopism w r. 1875 odbierano 29, w r. 1876 40.

„Ognisko” odpowiedniami uroczystościami uczciło rocznicę śmierci Mickiewicza, oraz zgon Goszczyńskiego i Fredry. Przyłożyło się także do urzędzenia balu na korzyść głodem dotkniętych mieszkanców Galicyi, który przyniósł czystego dochodu złr. 2,366 kr. 36. Odczytów i wykładów odbyto wogóle 26, w różnych przedmiotach naukowych i literackich.

Widziemy z tęg, że młodzież polska w Wiedniu umie zabawiać się szlachetnie, łącząc przyjemność z pożytkiem, a nie spuszczaając przytęm z oka i wyższej doniosłości celów. Szczęść Boże dalszym jęj na tęg drodze usiłowaniom!

Jako prezesa wydziału kierującego stowarzyszeniem sprawozdanie drukowane wymienia p. E. Machek, jako sekretarza p. J. Stolarezyka; na piśmiennęj zaś do nas odezwie podpisani są: prezes Wojnarowski, sekretarz Wolter, osobistości zapewne z nowych wysłę wyborów.

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze *Tygodnika*, str. 358, szpalta druga, wiersz 37 od dołu, w sprawozdaniu o warszawskiej wystawie sztuk pięknych, zamiast: *dziedzicznęj władzy*, czytać należy: *dzierzonęj władzy*.

Od W. z Miechowa otrzymaliśmy rs. 3 dla Biura informacyjnego o nędzy wajątkowej.

WYSTAWA
Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

(Dalszy ciąg).

Do najzdolniejszych tego kierunku artystów zaliczyć wypada p. *Alfreda Kowalskiego*, który codziennie stając się sam oistniejszym, doświadczeńszym, pełen żywego poczucia piękna natury, nader szybko i zadziwiająco czyni postępy. W kompozycjach, w których idzie śladem mistrza swego *Brandta*, jest zajmującym, wyrazistym, jedynym w kolorycie i rysunku, ale nie wychodzącym z pod cienia swego kierownika; wszędzie zaś tam, gdzie tworzy nie pod wrażeniem szkoły, lecz swoim własnym, jak na przykład w dwóch obecnie nadesłanych na naszą wystawę obrazach, uderza nowością pomysłu, świetnością kolorytu, szczególnie w światłach nieba, wielką swobodą, a mimo to ścisłością kształtów, czy to ludzkich, czy martwych, i tą sympatyczną energią, którą odznaczają się prawdziwie artystyczne dusze.

Obrazem jego, który śmiało można nazwać mistrzowskim, jest jeden z dwóch teraz na wystawie się znajdujących, zatytułowany: „Powrót z batu o świcie.“ Zatrzymujesz się pod tym obrazem, jak gdyby nagle przez otwarte okno widok ci się czarowny ukazał; zdajesz się zapominać że to malowidło. Podpatrzony w najuroczystszej porze swojej, bo o zorzy porannej, blask nieba przedziéra się przez srebrzyste mgły i drzew rosochatych konary; czujesz, zda się, chłód świtania i świeżość powietrza. Magiczne światło zorzy znać wszędzie, w najdrobniejszym zakątku tego swojskiego krajobrazu, który dlatego nazwalibyśmy krajobrazem światła. Na trzecim planie spotrzegasz za ledwie dachy domostw wiejskich i kościółka, na drugim wielkie drzewa lekko rysujące się na złotawym tle niebios, na pierwszym powracających z balu gości, których lichej mostek zmusza do pojedynczego, ostrożnego przesuwania się, podczas gdy powozy, z zapa-

lonemi jeszcze latarniami, gotują się do przebrnięcia przez dużą kałużę, w której odbija się brząsk poranka. Figury, pomimo że w półcieniu przedstawione, noszą na sobie cechy dziwnej prawdy; linie ich kształtów, pomimo śmiałości rzu-

go malca, któremu sen się zapewne uśmiecha, jak wymowne postacie poważnych obywateli! A ponad tęp wszystkim uroczyście cisza, samotność i promienie budzącego się światła, pod przejrzystą gazą rosy porannej!... Obraz to odczuty głęboko



Zwycięzca. Kompozycja F. Sypniewskiego.

tów penzla, odznaczają się skończonością i precyzją artystyczną, pełną smaku. Jak lekko, wdzięcznie a bojaźliwie zarazem przesuwa się ta parnienka po mostku, jak prawdziwa figura płaczące-

i poetycznie. W tęp prostém malowidle spotykasz podniosłość, obok żywej prawdy, i kompozycja drobna wyrasta do skali wyższego dzieła. Drugi, bardzo zajmujący obraz tegoż artysty,

„Bigos“, zaliczonym być powinien do czysto rodzajowych. Jakkolwiek scena odbywa się w lesie i przedstawia odpoczynek myśliwych w przerwie polowania, głównie tu jednak miał na myśli artysta uwydatnienie kilku swoich typów, co mu

koju, przy kominku. Niema w tych figurach żadnej szarży, żadnego wysoku, żadnego usiłowania w przystrojeniu, w wypięknienu, a mimo to zwracają na siebie uwagę, Igniesz do nich, pa-trząc się na nie. Artyzm przerobił te popospolite

z wojakierii, do której nawykł zrazu, jako uczeń p. *Brandta*, daje nam poznać swój własny, samostny kierunek. Malując wojaków, nie dorównywał swemu mistrzowi; dając nam dzisiaj obrazy z dziedziny społecznej i krajobrazu, okazuje do-wodnie, że już mu dziś mistrzów nie potrzeba.

Z sympatycznymi, jak zwykle, obrazami wystąpił p. *Maszyński*. Jeden z nich pod tytułem „Rok 1812“ przedstawia scenę ze sławnego odwrotu. Dwóch żołnierzy, starszych wiekiem, prowadząc trzeciego, młodzieńca o delikatnych kształtach ciała, ranionego i zbieżzonego, zdają ku wiejskiemu dworowi, wchodząc na dziedziniec przez furtkę. Nikt ich nie spotyka, nie wita, prócz skradających się chyłkiem kilkorga dzieci wiejskich; zdaleka pod domem widać jakieś figury w rodzaju karbowych lub ekonomów, a na dziedzińcu kobiety wiejskie, zbierające w fartuch rąbane drwa do kominika. Gruba warstwa śniegu ziemię i dachy pokrywa; ołowiane niebo zimowe dopełnia całości. Oto przedmiot i motyw — motyw bogate, tak ze strony natury, jako i figur. Napoleończy wojacy... toć znałiśmy ich, jeszcze niedawno, bardzo wielu... a i dziś jeszcze, pomimo ożrzybiałości, nie jeden z nich pokaże, czém byli owi wojownicy z pod Samosierry, Berezyny i Możajska. Kto więc zatrąci o te postacie, nie powinien ich traktować bez głębokiego namysłu lub natchnienia. Mogli być i w napoleońskiej armii podobni żołnierze, jakich nam p. *Maszyński* namalował; ale nie z takich to rysów i wyrazu jaśnieją w historii owi synowie burz, na niejednego z których „czterdzięci patrzyło wieków.“ Wielka epoka wymaga zawsze, jeżeli nie wielkich charakterów, jeżeli nie wybitnych w szędzie charakterystycznych postaci, tedy konieczne śladu przynajmniej czegoś wychodzącego ponad poziom. Żołnierze p. *Maszyńskiego* nie są to ci typowi wojownicy, należący do oddziałów, które w odwrocie, jak powiada historyk „sunęły pomiędzy tłumami przeciwników, niby studzińskie okryty posród łódek rybackich.“ W tym obrazie p. *Maszyńskiego* nie widziemy

się też wyborne udało. Ludzie ci, zgromadzeni wśród leśnych gąszczów na wesołą pogawędkę, swobodni w ruchach, silni i znać obeznani z gębią lasów, siedzą tam lub stoją, jak u siebie w po-

zakiąd postacie w sympatyczne, braterskie grono, do którego byś się chciał przysunąć... Coraz częściej teraz spotykamy się z płótnami pana *Kowalskiego*, w których, wyzwoliwszy się

do oddziałów, które w odwrocie, jak powiada historyk „sunęły pomiędzy tłumami przeciwników, niby studzińskie okryty posród łódek rybackich.“ W tym obrazie p. *Maszyńskiego* nie widziemy

jego zwykłego artyzmu. Każde dzieło sztuki wtenczas dopiero wyższego nabiera znaczenia, jeżeli wniem strona psychiczna, lub prawda natury, doprowadzone zostaną do stopnia wzbudzającego zajęcie, jeżeli oprócz ścisłości koniecznych kształtów, przemówi eós do ducha, lub uderzy doskonałością wykonania. Tu zaś, pomimo że przedmiot z bardzo sympatycznej czerpnięto dziedziny, nie spotyka się ani wybitniejszych rysów psychicznych w figurach, ani artyzmu w przedstawieniu zimy.

Drugi obraz p. Maszyńskiego daleko lepiej się przedstawia; nazwał go artysta „Szara godzina.“ Przyjemnych rysów dorodna kobieta, siedząc przy oknie, zatapia oczy w krajobrazie wieczornym, który się przed nią rozpościęra. Przy nogach ję bawi się dwoje dzieci, chłopczyki i dziewczynka. W niewielkim tym obrazku bez porównania więcej jest artyzmu, niż w poprzednim. Szczęśliwa matka odczuwa lubość i słodycz pogodnego wieczoru; w ję twarzy jest ślad wyraźny usposobienia, w którym ję dusza mknie w krainę dumania; w figurze pełnej naturalności i prostoty, znać zapomnienie zupełne o wszystkim co ją blisko otacza; w całej postaci jest barwa i myśl, która jak gwiazdka rozświeca po wszechność treści. Dzieci bawią się ze swobodą, korzystając z zadumy matki, którą wesole ich sześcioty, jak muzyka, do błogich nakłaniają myśli.

W „Siérocie“ swojej chciał nam p. Głębocki wydatnie całą światłość moralną, którą w sobie nazwa ta święta zamyka; chciał zebrać wszelkie uroki, które siéroca postać obudza; słowem chciał uogólnić pociechy i niedole siérocego stanu, bo swoje sierotę przedstawił sięgając jednocześnie dwóch krańców: najwyższej nędzy i najwyższego szczęścia. Jedną stronę wyobraża las ponury, wśród którego widziemy sierotę; drugą anioł, unoszący się nad ję głową, a w oddali rycerz z giermkim, prawdopodobnie zesłany przez Opatrzność, dla osłodzenia losu nieszczęśliwej. Młode dziewczę, snadź wypędzone z domu przez złych ludzi, idzie bosami stopy, samotnie, przez las, przez śnieżną zawieję, a anioł ów, unoszący się nad nię, różami drogę mu potrzęsa. Umysłnie przytoczyliśmy szczegółowo treść tego obrazu, aby każdy mógł ocenić, ile pięknym, bogatym w motywa estetyczne jest pomysł p. Głębockiego. Pomimo jednak najgorętszej sympatii, z jaką na płótno to patrzy, niepodobna otrząść się widzowi z przykrego wrażenia, że piękny ten przedmiot strąconym został przez artystę z wysokości, na której mógłby go postawić. Samotna siérota, zgnębione dziewczę bosc, idzie wśród lasu przez śniegi... ile w tém grozy, ile niedoli! Tu właśnie jest punkt kulminacyjny. Trzeba było koniecznie nadać ję styl wyraźny, aby z zadania wyjść zwycięzko. Jeż-li ta siérota miała (jak na obrazie) przenosić wpływy mrozu i zimna, jako istota nadprzyrodzona, gdyż stąpa po śniegu, niby po kobiercu wiosennej murawy, to obraz powinien był przejść w sferę alegoryczną, i taką nawet, jak się zdaje, intencją miał artysta. Ale postawienie przedmiotu w ten sposób, odpowiednich też barw i kształtów wymaga. W takiej kompozycji cielesność na drugi plan schodzi; potrzeba w nię pewnego przetworzenia form w czystość idealną a pod tym właśnie względem ani dziewczę, ani ję anioł-stróż, ani ów przysły ziemski pocieszyciel nie sięgają ponad powszedniość, lub co do anioła, trywialność. Jeżeli znowu zamiarem artysty było utrzymanie kompozycji w granicach rzeczywistości, tedy naturalniejszy, żywszy, szlachetniejszy, więcej przemawiający obrazby utworzył, gdyby tę dziewczynkę uczynił podległą prawom natury i odczuwającą okropności zimna, gdy brnie po śniegu. Jeżeli gdzie, to w sztuce konsenkwenca koniecznym jest warunkiem. Z tém wszystkiem gorące należy się p. Głębockiemu uznanie, za jego usiłowania na polu sztuki. Postępnego w kolorystyce widoczny; tylko technika malarska niezbyt się posunęła. Wiele z jego prac, dobrze narysowanych, traci swą wyrazistość, gdy je artysta weźmie pod koloryt. W powyższym obrazie las i pora zima odane są ze znajomością rzeczy i prawdą.

Pan Kurella ma zawsze jakąś miłą dla nas, nieuderzającą częś nadzwyczajną i wyszukaną, ale pełną wdzięku scenę. Dobre wrażenie, jakie wynosimy z przed jego obrazów, zawdzięczamy w znacznej części i temu, że pomysł zawsze się u niego zgadza z wykonaniem. Czy to weźmie za przedmiot Żydów, czy włościan, czy Cyganów, czy głęb leśną, zawsze tak rzecz ułoży, że jest panem swego przedmiotu. Widziemy że z niczém się nie mozolił artysta, że wszystko naprzód obmyślił i uplanował. Prawda, że bacząc na talent pana Kurelli i na poprzednie jego prace, mielibyśmy prawo spodziewać się dzieł donioślejszych, niż te które nam od pewnego czasu przedstawia; pomimo to jednak z przyjemnością witamy każdy jego nowy obrazek, zwykle charakterystyczny, jak i ten oto na wystawie terażniejszej, mający za przedmiot scenę przed wiejską karczemką. Przeciąga talor Cyganów: wię na przodzie młody, energiczny Cygan ze swoją kobietą, w malowniczych strojach. Spojrzawszy na nich, widzisz odrazu, że to przewodnik i opiekun całej bandy, której bryki znajdują się po za nim, a przy jednę z nich kilka jeszcze typów cygańskich. Obok przeciągających Cyganów stoi bryczka z końmi, czekająca widocznie na swego pana, który odpoczywa zapewne w karczemce. Po za stawem, czy rzeczką, na drugim planie, dostrzegamy chaty i pola, a ponad tém wszystkiem pięknie malowane niebo, mnóstwem lekkich obłoków urozmaicone. Całość to bardzo wdzięczna, rysunek pewny, koloryt dosadny, charakterystyka naszj wioski wyborna. Figury jednakże w tym obrazie, niewiadomo dlaczego, wydają się tak, jakby wydawać się powinny z większego tylko oddalenia, co się widzowi usprawiedliwionem i potrzebnem nie przedstawia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LISTY Z PODRÓŻY PO KRAJU.

Napisł

FELICYAN SURYN.

III.

Z Mińska do Wilna. — Wilno.

Wsiadłem na pociąg wieczorny, ulający się do Wilna, w Mińsku. Na ledwo co ukończonej drodze landwarowo romnowskiej śniły się nowiutkie wagony, sprzęty dworców, stroje konduktorów, słowem odświętną postać miało całe otoczenie. Ale ruch nadzwyczaj mały panował. W wagonie do którego wsiadłem, wysoki, chudy Niemiec, stojąc, z entuzjazmem opowiadał jakiemuś urzędnikowi, z twarzą wpółdziką i idyotyczną, o czynach heroicznych Moltkego, o geniuszn Bismarcka. Słuchacz oponował mu, lecz opozycja jego, bez treści i siły, niezdolna była zwalczyć sofistycznej wprawdzie, ale dość zręcznej wymowy Niemca. Chwilę tylko przysłuchiwałem się tej rozmowie, nie biorąc w nię udziału, a potem zacząłem obserwować resztę współpodróżnych.

Było tu rodzin cztery, Szlązaków z pod Opola, którzy wracali z niefortunnej kolonizacji, z jakiejś dalekiej wschodniej gubernii cesarstwa. Zwróciłem się do nich z pytaniami o ich miejscowe stosunki, lecz Szlązacy, zrozumiałwszy mię doskonale, odpowiedzieli po niemiecku. Im ich rodzinna polszczyzna, której wiernymi pozostali w ciągu wieków tyłu i śród ucisków tyłu, zdała się teraz nieokrzesaną gwarą, którą rozumieć i przemawiać może tylko lud siermiężny. Jakiż to długi szereg zdrad, ucisków, poniewierek, wzgardy i szyderstwa możnych, w ludzie biędnym i bezbronnym, wyrobił ten pogląd na własną jego mowę! Smutne to i o pomstę do nieba wołające dzieje!

Przednia ta od germanizmu czata słowiańska, zepchnięta z żywnych równin, w góry się schroniła, wyczekując sposobniejszej chwili, by znowu zejść na te równiny, odwet niosąc zdrajcom z posród swoich i łupieżcom przybyszom; a może też

mowa ta, coraz słabsza i słabsza, zmiłknie po chwili, jak zmiłkła nad Elbą, Bałtykiem — i świadkom tego skonu jeszcze raz trzeba będzie walkę staczać ze zwątpieniem, niewiarą w ład dziejowy, w tryumf prawdy na ziemi. Ale precz z przedczesnymi myślami czarnemi! Lepiej wpatrzeć się w krajobraz nas otaczający. Tu tyle ładu, harmonii, piękna, że widok ten zdolen wypłoszyć myśli sceptyczne i natchnąć wiarą w Stwórcę i dzieła Jego.

Lekkie wzgórkowatości, przedzielone jarami, uwieńczone gajami, umajone zielenią i bujnie wegetującym zbożem, tu i owdzie srebrne zwierciadło jeziora, lub rozsiane male wioszczy i miasteczka, z okazałemi zwaliskami świątyni, wszystko to składało się na krajobraz piękny, rzewny i prawdziwie sympatyczny.

Zasław, dziś mięscina licha, ma wspomnienia, sięgające aż w brzask dziejów cywilizującej się Słowiańszczyzny. Tu, jak chcą Nes or i Karamzin, Włodzimierz posłał na wygnanie żonę swą Ragnedę, córkę Rogwołoda, i oni założyli ten grodek, zwąc go Izaśławem, od imienia syna Ragnedy. Wtedy należałoby datę założenia miasta odnieść do drugiej połowy X-tego wieku. Ponieważ jednak samo podanie poetyczne, przypominające biblijne dzieje Agary i Ismaela, w szczegółach swych przynajmniej nie może być uważane za pewnik dziejowy, trudno więc tak daleką datę naznaczać początkom Zasławia. Podobniejsze do prawdy, że któryś z książąt zasławskich był fundatorem mięsciny, dając ję imię od nazwy swj rodzinnej. Wianem Zasław przeszedł w ręce Hlebowiczów. Ślady wałów i warowni świadczą, że było to miasto obszerne i miało dwa zamki. Hlebowiczowie, uniesieni prądem pojęć wieku, chwytali się reformy religijnej. Wtedy-to Jan Hlebowicz oddał tutejszą farę katolicką na zbór kalwiński. Była przy nim drukarnia, przy której czas niejaki ministrował sławny Szymon Budny. Istnieje nawet podanie, że tu właśnie drukował swą biblię; mylność jednak podania tego łatwa do wykazania. Budny, protegowany przez Radziwiłłów i Kisków, przekonaniem przechylający się do socjalizmu, ministrem był w Łasku i Klecku, a większą połowę dzieł swoich, zwłaszcza ruskich, drukował w Nieświeżu. Z tej też drukarni wyszła i polska biblia jego, resztę zaś pism polskich i łacińskich drukował w Łasku przyjaciel ję, Daniel z Łęczycey. Chociaż więc imię Zasławia nie da się złączyć z imieniem Szymona Budnego, miasto to jednak w czasie owych ruchliwych walk religijnych należało do większych ognisk, w których się skupiał ruch reformacyjny, gdyż Hlebowicze należeli do najzarliwszych wyznawców kalwinizmu. Jan Hlebowicz, kasztelan miński i podskarbi ziemski litewski, łożył koszt na druk polemicznego dzieła Wolana, a autor jemu je ofiaruje, jako najgorliwszemu obrońcy kalwinizmu.

Prawdziwie piękne i obiecujące były to czasy dla Polski. Spółzawodnictwo wyznań stało się podniętą do krzewienia oświaty i szkół zakładania; szeroka i rozumna tolerancja zwabiała do licznych i bogatych miast naszych wielu cudzoziemskich przemysłowców i rękodzielników i mnóstwo dziś lichych mięscin, a w liczbie ich i Zasław, wrzało wtedy handlem i przemysłem. Z głębokim żalem, za uczonym Surowieckim, tak dokładnie, tak krytycznie opowiadającym nam koleje upadku tych miast i tego przemysłu, powtarzamy: „Czemuż to dziś patrzeć musiemy na smutny obraz zmienionego kraju? Czemuż obszerne owe pola, które niegdyś bujnym pyszniły się plonem, okrywają teraz ponure bory? Czemuż tam, gdzie ongi w ludnych osadach miast panowało życie, wesołość i dostatek, czołga się dziś smutek, nędra i śmierć wybladła? Lecz komuż te ciężkie zarzuty ma rzucić w oczy obecne pokolenie, kto ma przed jego trybunałem zasiąść na ławie obwinionych? Wiele głosów namiętnych w obecnej chwili chce winę tę zrzucić na wyznanie zwycięzkie w owj chwili; lecz większość nie da posłuchu tym głosom potwarczym i stronnym. Sztandar katolicyzmu nigdy i nigdzie nie był chorągwią śmierci i zniszczenia. Niosący go mogli czasem

nadużywać posłannictwa swego, lecz rozkaz wodzów od wieków za hasło im dawał i daje ewangeliczne słowa „Pokój wam.“ I rzeczywiście hierarchia fanatyczna i chciwa wiele się przyczyniła do nieszczęść narodu, do bezrządu i poswaru, lecz kościół i prawi kapłani jego wciąż opowiadali zakon miłości i braterstwa.

Po Zaslawiu wspomniéć należy Smorgonie. W mieście tej Radziwiłłowskiej uczono niegdyś niedźwiedzie, a masę tych zwierząt dobrze tresowanych wodzono ztąd po całej Polsce. Dodać znane jest na Litwie przysłowie: zgrabny jak uczeń smorgońskiej akademii. Obecnie Smorgonie prowadzą dość czynny handel z Wilnem i słyną na całą Litwę z wyrobu obwarzanków.

Na stacyi Soly zjechałem się z kolegą z czasów horeckich, Wacławem Raczkiewiczem. Rodowity Oszmiańczuk, syn żołnierza Napoleońskiego, doskonale obeznany z miejscowością, był mi nieocenionym przewodnikiem w tej wędrowce.

W Solach, dziedzicznej niegdyś własności Sobaskich, rodziny możnej na Litwie, jest mały drewniany kościółek, który w roku 1849 kosztłem swym zbudowali parafianie. Ówczesny proboszcz ks. Piotr Żyliński, głośnego dziś imienia na Litwie, kierował tą budową. Obecny jednak Krezus-prałat złym się okazał budowniczym i niegustownie też wygląda ten mały kościółek w Solach. Ks. prałat więcéj ma szczęścia do architektury świeckiej, czego dowodem liczne i gustowne jego kamienice w Wilnie.

Wilno! magnetycznej potęgi słowo dla tylu serc, co imię swe na wieki spoiliły z imieniem grodu tego, kolébka romantyzmu naszego, *alma mater* Adama, w dziwnie téż romantycznej i poetycznej rozsiadło się okolicy. Żaden zakątek kraju naszego pochłubił się nie może tak piękną miejscowością. Wprost z dworca kolejowego, budowy wspaniałej, udaliśmy się pieszo, oddać pokłon świątyniom i grobom miasta tego. Był ranek, zapowiadający dzień przesłiczny; ruch tylko co się poczynał w mieście, dzwony wzywały do licznych kościołów na modlitwę. Najpiérw ujrzałem Ostrą-Bramę: obraz już odsłonięto, tłumy ludu na klęczkach zalegały ulicę, litanią pozdrawiając swą Opiekunkę; w tym śpiewie, w tém nabożeństwie Wilnian do Maryi jest coś dziwnie rozrzuwającego i wzniosłego. Jasno się odczuwa związek kościoła wojującego z tryumfującym, nastój świąteczny udziela się duszy i zmiłknąć muszą wszelkie zwątpienia i wszelki sceptycyzm.

Z innych kościołów najbogatszy w pamiątki katedralny. Groby Witolda, S. Kazimirza, Barbary, (bez pomnika) najznakomitsze to w nim pamiątki dziejowe. Chlubę jego stanowią liczne obrazy pensla Smuglewicza, posągi dłuta profesora Rigi i sam styl świątyni czysto dorycki, wedle planu Gucewicza. Styl ten jednak mało jest odpowiedni na świątynię katedralną, panteon litewski; gotyk tajemniczo-mistyczny, tysiącami wież i iglic pnący się w niebiosa, o ileż wspaniałejby wyglądał. Przed kościołem wznosi się stara dzwonnica, mająca jeszcze kawałki mura ze stariej pogańskiej świątyni. Wnętrze utrzymane brudno i niedbale, śnieżąc więcéj i wilgoć okrywa ściany, psuje nagrobki i obrazy. A szkoda byłoby tych przesłicznych utworów naszego Smuglewicza. Przy dzisiejszym tak wspaniałym rozwoju malarstwa polskiego czas pomyśleć o całkowitym przerysowaniu jego arcydzieł. Dzieła Smuglewicza i Czechowicza rozpoczęłyby zbiór, bo pocóż nam przywłaszczać sobie malarzy obcych, drugorzędnych, takiego Dolabellę i Bacciarellego, jeżeli nam niebrak potężniejszych talentów własnych.

Tak ściśle złączony z dziejami oświaty naszej ogromny po-jezuicki kościół s. Jana, nieodznaczający się zewnętrzną architekturą, frontem zwrócony nie do ulicy, lecz na dziedzińce, wewnątrz wygląda pięknie i wspaniale. Gotyckie wysmukłe filary i łuki, obok ogromu, stawiają go w liczbie najznakomitszych kościołów naszych.

W murach po uniwersyteckich mieści się gimnazjum, resztki zbiorów archeologicznych, pamiątka po Eustachym Tyszkiewicz, obserwatorium i t. d. Piękne te mury prawdziwą są ozdobą Wilna. Z innych świątyni godne widzenia:

kościół po-dominikański s. Ducha, wzniesiony przez przeora tego zakonu Wojniłowicza w 1679 roku. W przedsionku kościoła mieszczą się dwa stare płótna, jedno portret króla Aleksandra Jagiellończyka, drugie kapelana jego Korczaka. Piérwszy zwłaszcza z tych portretów godzien przechowania choćby w drzeworycie, jako stara i autentyczna pamiątka, gdyż wilgoć z pewnością w krótkim czasie go zniszczy.

Dziwnie się dzieje z temi kościołami wileńskimi. S. Jana ma 9000 parafian, s. Ducha 5000, a przeciez stoją w opuszczeniu i zaniedbaniu, jak gdyby nie było wśród tych licznych parafian serc chętnych do ofiar, lub jakby obojętność przelożonych nie miała granic i miary.

Mały, śliczniuchny kościółek s. Anny, którego założenie jedni przypisują żonie Witolda Annie, drudzy Annie Jagiellonce, jest to najpiękniejsza zewnątrz świątynia na Litwie. Choć w drobnych rozmiarach, lecz w całej pełni i krasie rozwinięto tu cuda gotyckiej architektury.

W stylu odrodzenia, tak powszechnym za Wazów, hetman litewski Pac wznosił na Antokolu ogromny kościół, poświęcony apostołom s. Piotrowi i Pawłowi. W tym kościele obecnie znajduje się statua Chrystusa, którą Wilnianie szczególną czcią otaczają. W kościele s. Michała bernardynek widzenia godnym jest pomnik Lwa Sapiehy i żony jego, fundatorów tego kościoła, w podziemiach którego znalazł ostatni spoczynek ten wielki hetman i kanclerz.

Najstarszy z wileńskich kościołów, a raczéj zbudowany na miejscu najstarszego, fundowanego przez Gastoldów, jest kościółek s. Mikołaja niegdyś obsługiwany przez franciszkanów, dziś filialny i chylący się ku ruinie.

Z dwóch ementarzy katolickich Rossa odznacza się nieporównaną, dziką, jeśli tak rzec można, pięknoscia. Ręka ludzka mało się przyłożyła do upiększenia miejsca tego, lecz w piękności naturalnej Rossa uposażona hojnie. Mnóstwo imion głośnych w historii oświaty naszej czytać można na tablicach starych katakumb. Z nowszych pomników odznaczają się Malinowskiego i Syrokomi.

Wilno, bogate w pamiątki i przesłiczne okolice, nie może się jednak pochłubić symetrią, ozdobnością i komfortem miast nowszych. Ulice bardzo wąskie, kamienice bardzo stare—oto charakterystyka jego. Nowsze, werniksowane niby ozdoby nie harmonizują z ogółem poważnych budowli. Prawdziwie śliczne są pobraża Wileńki, nad brzegami której zasadzono ogród botaniczny, staraniem byłego uniwersytetu i profesora Jundzilla; dziś ogród ten mocno jest zaniedbany.

Życie towarzyskie nie istnieje prawie w Wilnie. Przestało téż ono być ogniskiem życia umysłowego prowincyi, lubo przed niedawnymi laty szczyściło się tylu ludźmi piérwszorzędnymi w literaturze. Baliński, Malinowski, Chodźko, Odyniec, Syrokomla, Eustachy Tyszkiewicz i wielu innych mieszkało, lub gościło często w Wilnie. Dziś nie ma ono prawie piszących. Handel téż księgarski, tak ruchliwy niedawno, przycichł obecnie. Księgarnia Zawadzkiejó bardzo zasobna, lecz dziś niewiele wydaje nowego, Orgelbranda zaś przesłała w ręce Lambecka i zasobna jest tylko w utwory beletrystyczne. Księgarski zaułek, owa masa antykwarni, dziś wyludnił się zupełnie.

Przegląd polityki zagranicznej.

8 grudnia.

W dniu 1 b. m. książę Bismarck, obiadując z członkami parlamentu niemieckiego, wygłosił kilka urywcznych zdań, w przedmiocie polityki rządu berlińskiego na Wschodzie. Kanclerz ponownie zapewniał, że Niemcy nie są związane żadnym w tym względzie traktatem i postarają się o zachowanie postawy oględnej; że tylko zagrożenie interesom Austrii wyprowadziłyby je mogło z téj biernej roli. Rząd nie widzi potrzeby udzielania rad Rossyi, gdyż obraziłyby mógł naród ros-

syjski a wreszcie nie chciałby swych rad popierać zbrojną potęgą. Pragnie on zapobiedz wojnie Rossyi z Turcyą, gdyby zaś to nie udało się, postara się aby przynajmniej wojna umiejscowioną została. Do kilku tych uwag dorywczych ks. Bismarck dodał, że udzieli izbie dokładnych objaśnień, przy trzecim odczycie budżetu w parlamencie. Jak widzimy, oprócz nagłej dla Austrii czulości, kanclerz nie wyjawil światu nic godniejszego uwagi, wszystko to bowiem, mniej więcéj, wygłoszoném już było w mowie tronowej cesarza Wilhelma. Ciekawą atoli jest rzeczą owa wzmianka o zagrożeniu interesom Austrii, której dotąd nikt nie zaczepia.

Słowa kanclerza rozeszły się natychmiast po wszystkich dziennikach politycznych, na czele których stanęły angielskie, szczególniej zaś Times, który obsypał ks. Bismarcka pochwałami, nazwawszy go, między innymi, „największą żyjącą powagą w polityce zagranicznej.“ Jest to zwykła *captatio benevolentiae*; Timesowi bowiem głównie o to chodzi, aby kanclerz nie popychał rządu angielskiego do wojny z Rossyą, wojny, której naród angielski weale nie pragnie.

Telegram z Konstantynopola, z d. 3 b. m., zapewnia, że dywan zawiadomił ambasadorów o stanowisku rządu sultańskiego względem konferencyi. Porta gotową jest dać i wykonać reformy w trzech prowincyach, według woli mocarstw, pod warunkiem, że takie same reformy udzieli nie tylko Słowianom, lecz i innym chrześcijańskim swym poddanym. W dodatku Porta żąda usunięcia jednostronnego wystąpienia, zajęcie bowiem Bułgaryi przez Rossyą uważalaby za *casus belli*, gdyby zaś Rossya zajęła Bułgaryą, to Austriya może zająć Bośnią i Hercegowinę, jako mocarstwo przyjazne Turcyi. O ile to wszystko zasługuje na wiarę, nie wiemy dotąd dokładnie.

Według ostatnich depezy paryskich, spodziewane przesilenie gabinetowe stało się faktem rzeczywistym. W d. 2. wice prezes gabinetu, p. Dufaure, a w d. 4. wszyscy inni ministrowie podali się do dymisyi. Utrzymywano że p. Juliusz Simon zastąpi Dufaure'a, ale telegram z d. 4. donosi, że prezydent rzeczypospolitej ofiarował to miejsce ks. Audiffretowi, który odrzucił zrazu propozycyę. Mac-Mahon prosił księcia, aby się namyślił i koniecznie podjął się ułożenia nowego gabinetu. Wrócimy jeszcze do tego przedmiotu w przyszłym przeglądzie naszym; tu dodamy to tylko, że powodem przesilenia były kwestye budżetowe i kwestya pogrzebów cywilnych.

Odebraliśmy w téj chwili telegram z Berlina, z d. 5 b. m. Na posiedzeniu parlamentu niemieckiego deputowany Richter interpelował rząd w przedmiocie opłaty ceł na komorach rossyjskich w złocie i dowodził, że to rzecz szkodliwa dla Niemiec. Kanclerz oświadczył, że p. Philippsborn odpowie na ekonomiczną część interpelacyi, sam zaś dodał, że zadaniem rządu niemieckiego jest utrzymanie pokoju, pośredniczenie między mocarstwami, a w potrzebie umiejscowienie wojny. Gdyby to nie udało się, powiedział p. Bismarck, wtedy wytworzy się nowe położenie, o którym nie może jeszcze żadnego dać objaśnienia.

OSTATNIE TELEGRAMY. Paryż, 5 grudnia. Ks. Audiffret-Pasquier nie chce się podjąć utworzenia nowego gabinetu. Mac-Mahon zwołuje jutro konferencyę prezesów senatu i prezesów Izby deputowanych. Prezydent chce trzymać się drogi konstytucyjnej, lecz wymaga aby minister wojny i minister spraw zagranicznych pozostali w gabinetcie i nie zależeli od zajęć parlamentarnych.

Ateny, 5 grudnia. Przesilenie gabinetowe. Król wezwał Deligeorgisa, lecz ten nie zdołał utworzyć gabinetu. Król uprosił Komundurosa, aby wraz z kolegami pozostał u steru rządu, aż do usunięcia przesilenia.

Peszt, 4 grudnia. W dalszym ciągu pogłosek o bliższym przesileniu gabinetowém w Przedlitawii, donoszą że Lasser i Depretis wezwani zostali do cesarza, przebywającego obecnie w zamku królewskim w Budzie. Wczoraj odbyła się narada wszystkich ministrów.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).

Stary dwór w Sadowiu.

Niewiele już pozostało owych dawnych dworów i dworków szlacheckich, których przeszłość poeci i powieściopisarze żywymi odmalowali barwami.

Dołączony rysunek przedstawia stary modrze-

wiowy dwór w Sadowiu (gub. kielecka), wybudowany r. 1755, jak wyciosana na belce data wskazuje, a zatem sięgający rządów Augusta III Sasa. Dom ten już przez to samo zasługuje na szczególne poszanowanie, że od czasu wybudowania nie zmienił ani razu zewnętrznej swjej postaci, przez jakiegokolwiek dodatki, ujęcia lub przeróbki. Ponieważ zaś teraz, dla widoków go-

spodarskich, przeznaczony został na rozwalenie, godzi się więc rysunkiem i opisem zachować go w pamięci.

Struktura takich dworów była niegdyś bardzo pospolita, a kto jeden z nich poznał, miał wyobrażenie o wszystkich. Cała różnica zachodziła tylko w większych lub mniejszych rozmiarach. Zewnętrznie wybitną ich cechą były konieczne



Dwór modrzewiowy w Sadowiu (gub. kielecka). Rysował z natury Bolesław Olszowski.

310

Kalendarze Józefa Ungra na rok 1877.

KALENDARZ

WARSZAWSKI ILLUSTROWANY POPULARNO-NAUKOWY

na rok zwyczajny 1877.

Wydany obecnie kalendarz na rok 1877 liczy 32-gi rok swego istnienia, i oprócz niezbędnych wiadomości informacyjnych, mieści w sobie artykuły najcelniejszych w literaturze naszej pisarzy.

Oprócz tego pośród działu informacyjnego mieści się tak zwany „Przewodnik warszawski,” który, ze względu na rozmaite wiadomości i informacje jakie w sobie obejmuje, z nową reformą sądową, zarówno dla osób z prowincji do Warszawy czasowo przybyłych, jak i dla stałe zamieszkałych, jest nader pożytecznym.

Cena egzemplarza kop. 50.

DZIENNIK

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 30.

KALENDARZ ŚCIENNY

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 15.

Uwaga: Osoby zamieszkałe na prowincji, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą **rs. jednego** na powyższe **trzy** kalendarze, takowe wysłane im zostaną **franco**, jeżeli zaś nadeszłą należność na którykolwiek egzemplarz pojedynczy, w takim razie uprasza się o dołączenie po kop. 10 do każdego egzemplarza oddzielnie, na kosztu przesyłki.

Adres: Józef Unger, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów prowincjonalnych Prospekt Tygodnika Ilustrowanego na rok 1877.

REBUS.

311



Z DZIADA PRAOZIADA

Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 49.
Zły przykład starszych zgubnie działa na młode pokolenia.

narożniki, w kształcie niskich wieżyczek, zakończone powiewnikami, wyobrażającymi kogutka, lub zwykłą chorągiewką z blachy żelaznej. Dach wysoki, prosty, pod gontem; na szczytach umieszczone najpowszechniej kule blaszane pobielone, kolcami najeżone. Okap odsadny, z grubemi słupami, a ganek skromny, mały, na dwóch słupach wsparty, otoczony wewnątrz prostemi z deszczek ławami.

Chcąc poznać wnętrze domu, musimy cofnąć się w przeszłość, o kilka dziesiątków lat. I ono również odznaczało się staroświecką prostotą. Sienń obszerna, a ściany nabite rogami jeleniami i kołkami do wieszania ubitej zwierzyny, tudzież ubiorów podróżnych, bo na przedpokój miejsca nie było. Wprost z niej izba gospodarska jęgoomości. Tam w porze zimowej lub słotnej przyjmował relacje, wydawał dyspozycje lub wyroki z doraznych sądów na dworskich i czeladź. Od sieni na lewo *komnata*, pokój najwspanialszy. W miejsce sufitu grube płótno wyciągnięte, ówiekami do belek przymocowane i wapnem grubo pobielone; na środku wbity hak żelazny do zawieszania pająka (alias lustra, świecznika). Ściany również obciążone takim płótnem, odstającym, nadętym, na którym jednak przyklepione papierowe zagraniczne obicie, naówczas bardzo kosztowne, oraz przybite listwy drewniane fugowane, lakierem białym powleczone—otaczały wszystkie kanty i załamki. Rzadko trafiał się pawiment (posadzka); bywała zwykle podłoga trwała z drzewa smolnego, którego robactwo imać się nierade. Meble stare, rzezane, różnych kształtów, najczęściej po ojcach i pradziadach, dziś tak wysoko cenione przez dorobkiewiczów. Oprócz konterfektów antenatów i koligatów, rozwieszonych po ścianach, żadnych innych zbytków nie było. Komin obszerny w każdym pokoju, obok jeszcze większego pieca kaflanego o różnych pisaniach (rysunkach, malowaniach), a wokół pieca ławeczka.

Drugi przyległy pokój (alkierz) sypialny, zdobny w obrazy świętych i wszelkie przybory potrzebne w godzinie śmierci; nad łóżem jednak jęgokości rozpostarty spłowiały dywan perski, a na nim rozwieszona zbroja, szabla, rusznica, pistolety i wiele innych przyborów pamiątkowych po przodkach. Wizerunki królów i hetmanów, z którymi się razem może służyło w czasie potrzeby wojennej, dopełniały całości.

Z komnaty bawialnej prowadzi drzwi naprzeciw do *narożnika*. Zwykle to mały pokój dla córek (dziełwek) dorodnych i panien respektowych.

Z sieni znów na prawo obszerna izba jadalna. Stół dębowy na środku, ławy przy ścianach, kilka stolików prostych, kredens duży, oszklony, ściany gładkie, bielone i powala na belkach, były dostateczne do przyjęcia choćby króla Sasa II-go, który tak lubił nawiązać serdecznie gościnną szlachtę.

Z tej jadalni prowadzi przejście do przesławnej tradycyjnej *apteczki*. Czegóż-bo tam znaleźć nie można było? Lekarstwa, trucizny na myszy, remedia przeciw czarom, nalówki, wędliny z marynatami, nasiona, nie licząc już słodyczy, a wszystko domowej roboty. To też przybyły gość znalazł nietylko obfite pożywienie, ale i środki na przypadkowe słabości.

Taka była całość dworu. Reszty pomieszczenia dopełniała *oficina*, w niej kuchnia o ogromnym kominie, piekarnia, obszerna spiżarnia z zapasami kilkoletnimi, a obok tych niespożytych składów tuż izdebka klucznicy powierniej, najczęściej siórotki, koligatki ichmościów. Piwnice też natożone pode dworem i lamusem. Było nakoniec w tej oficynie parę schludnych stancyjek dla respektowych lub gości, a to według kondycji przybyłego.

Poznajmy się teraz bliżej z właścicielami. Byli to zwykle ludzie zamożni, gdyż oprócz wioski na której siedzieli, posiadali jeszcze czasem i parę innych, oddalonych. Zdarzało się i starostwo nadane od króla, a oprócz tego szkatuła naciulana, często bogatsza od wartości ziemi, i tytulik przytym ziemski, urzędnik chorążego, sędzięgo, choćby i skarbnika, dodawał niemałego

splendoru, gdy obok *generosus* (urodzony), słusznie przynależał dodatek *magnificus* (wielmożny). Tacy to właściciele: Sadowscy, Misiewscy, Rупniewscy, Paczkowie, byli po kolei dziedzicami Sadowia, po koniec zeszłego wieku.

B. Ol.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Stan literatury w Niemczech. — List Scherra. — Wczoraj i dzisiaj. — Brak zasady i idei. — Artyści i twórcy. — Tetralogia Wagnera. — Literatura bayreuthska: Lindau Engel. Kelbeck. Ehrlich. H. v. Wollzogen. — Sady o Wagnerze. — Mistrz w Sorrento. — Scherr o Hamerlingu i Dahnie. — Romans historyczny. — Heyse, tłumaczenie poezji Giusti. — Dahn'a Amalungen. — Pozostałość po A. Grünie. — Jubileusz. — Kleist i Džbanrozbity. — Historia jego. — Benedyktyni osądzeni przez protestanta. — Ich zasługi dla cywilizacji. — Pamiętniki Dawida Straussa. — Autokrytyka. — Pamiętniki K. Blaasa. Jego życie. — Cornelius i Tycyan.

Nieraz, wspominając o nowych pismach i pisarzach niemieckich, przychodziło nam wyrażać się o nich z ubolewaniem nad widocznym upadkiem literatury, która zyskując na rozległości, na głębokości i wewnętrznej wartości straciła. Można by nas jednak łatwo posądzić o niechęć i uprzedzenie, gdyby zdanie to nie potwierdzało się przez usta samych Niemców, najmocniej interesowanych w tej sprawie i najprzysiężniejszych do swęj narodowości, do wszystkiego co jest ję dziełem. Właśnie wpada nam w ręce list znanego i cenionego pisarza, jednego z najżywszych umysłów i najjaśniejszych widzających dziejopisów, Jana Scherr'a, który ubolewa także nad terażniejszym stanem literatury, płynącym ze stanu ducha. Postrzeżenia i uwagi jego zasługują na powtórzenie choć w części, a godzą się tak z przekonaniami naszymi, iż się od zacytowania ich powstrzymać nie możemy.

„Wierchołek naszej góry Muz—wyrażając się po staro-frankonńsku—oddawna jest pusty, a i stoki ję coraz bardziej stają się podobne do mocno przerzedzonego lasu, poprzedcinanego i wyrabane-go, w którym tylko karłowacizna i małe krzaki pozostały. Uhland, Rückert i Platen, Grillparzer, Immermann i Grabbe, Heine i Lenau, Schefer i Möricke, Mosen i Freiligrath, Grün i Hartmann poumięrali. Gdy Gutzkow i Geibel pójdą z nimi, dopiero poetyczne bogactwo tej niedawnej przeszłości wybitnie się okaże, obok terażniejszego ubóstwa naszego. Nowemu pokoleniu nie zbywa na talentach, ani na pojedynczych świetnych utworach, ale na *zasadzie*, któraby mu drogę wskazywała.“

Nadzwyczaj trafne to postrzeżenie, nie do samej literatury się stosuje. W całej pracy wielostronnej wieku dopatrzeć się można tego braku idei przewodniej i zasady. Literatura, chętnie czy mimowoli, odbija zawsze to, co w łonie społeczeństwa urosło, co jego żywot stanowi. Społeczeństwu niemieckiemu, europejskiemu wogóle, a szęrczej biorąc jeszcze, ludzkiemu nawet, brak w tej chwili zasad, w któreby uwierzyło silnie i szło za nimi. Sceptycyzm jest we krwi naszej. Po licznych próbach, w różnych, najprzeciwiejszych kierunkach, po skutecznym zburzeniu wszystkiego, co zdawało się do postępu zaważać — zostaliśmy wśród ruiny, z jednym tylko mizernym pewnikiem, że interesa materyalne wszystkiego podstawę stanowią. Literatura w takiej chwili nie może się podnieść, bo ję skrzydła obcięto; stać się musi służebnicą, histryonem, lino-skokiem i pajacem. „Mamy talentów dosyć — mówi Scherr—zręcznych robotników, myślących kunsztmistrzów nawet, ale nigdzie twórcy, nigdzie prometeuszowej dłoni, któraby tytaniczną siłą i potęgą to co nasz wiek najmocniej we wnętrzach jego porusza — uczucia i pragnienia, myśli i wolę społeczną, w typowym dziele sztuki uwydatniła i wcieliła.“

Scherr w swym liście, między innymi, oburza się na przesadzone ocenianie Wagnerowskich Niebelungów, jako poematu. Ma w tém zupełną słusność. „W narodzie — pisze on — któremu Les-

ing dał Nathana, Goethe Fausta, a Schiller Wal-lensteina, znajdując się, śmia występować ichmo-ście (Burschen), którzy taką rzecz jak wzmian-kowane libretto za arcydzieło jakieś zuchwale nam przedstawiają.“

Mówiliśmy już o listach Lindau'a, w których wiele trafnych jest uwag o bayreuthskiej tetralogii. Godnaż ona tego czy nie, że stworzyła całą literaturę, szczególniej muzykalne ję znaczenie podnoszącą, a pełną przesady i śmieszności? Obok Lindau'a listów, dopełniająca je krytykę muzykalną stanowią artykuły profesora Gustawa Engel, które wyszły zebrane w Berlinie (Challier). Engel jest bezstronnym sędzią, lecz przyznając wiele kompozytorowi, nie waha się mu zarzucać tego, co dziwacznym, rozwlekłym i chybionym znajduje. Ostrzój nieco występuje Max Kalbeck (Das Bühnenspiel zu Bayreuth, Breslau). Polemicznym jest także piśmko prof. H. Ehrlicha „Za Niebelungami przeciw bayreuthskim przedstawieniom.“ Są to krytycy i ludzie po za obozem stojący; ale nierównie liczniejsi są wagnerianie-zapaleńcy, dla których w dziele mistrza (niewolno go inaczej nazywać) wszystko co on rzekł jest ewangelią. Na czele ich stoi Hans von Wollzogen, który za zasadę stawia aksyomat taki: „Tylko ten co Wagnera miłuje, sądzić o nim ma prawo“ — a popiera to następnym argumentem: „O tém się tylko sądzić godzi, co się rozumie; kto Wagnera rozumie, ten go kochać musi; zatem miłujący go jedynie jest sędzią kompetentnym.“ Któs tu uczynił uwagę, że przypomina to argument: „Nie lubię szpinaku i cieszę się z tego, bo gdybym go lubił, musiałbym go jeść, a cierpieć go nie mogę.“ Wollzogen naturalnie pada na twarz przed mistrzem. Wydał on tematyczną wskazówkę owych sławnych „motyów“, która na nieszczęście nie zgadza się z drugą podobną Heintza, wydaną w Moguncyi u Schottów.

Gdyśmy przed parą dniami zażądali w księgar-ni broszur o bayreuthskich przedstawieniach, taką nam ich ilość wyniesiono, żeśmy się przestraszyli. Dajmy więc pokój ich wyliczaniu. Na zakończenie tylko smutna dla przyjaciół mistrza wzmianka, że Wagner chory siedzi w Sorrento, w Hotel Victoria, i tak się czuje znużonym, że wszelkiej pracy wyrzec się musiał. Gdyśmy go widzieli przed dwoma miesiącami, uderzyła nas chorobliwa, woskowa bladeść jego twarzy, z której wszelka krew zdawała się uciekać.

W dalszym ciągu listu swojego Scherr mówi o „Aspazyi“ Hamerlinga i Dahna „Kampf um Rom“, dziełach o których dawniej już wspominaliśmy, obu im czyniąc zarzut, że więcej zawarły w sobie mozaikowej nauki, niż twórczej siły. Co się tyczy Hamerlinga i Aspazyi, nietylko Scherr, ale mnogie głosy napadły na niego za ten obraz greckiej przeszłości, zadając mu nieskończone błędy, uchybienia przeciw prawdzie dziejowej, fałszywe charakterów pojęcia itd. itd. Jednakże coś tu jest więcej nad „Podróż młodego Anacharsisa“, a poetyczny talent autora znać w tém dziele, które ma piękne ustępy. Scherr tej Aspazyi nie ceni wyżej nad Wielandową (w Aristippie). „Ani Dahn, ani Hamerling, — dodaje — nie posunęli o krok dalej historycznego romansopisarstwa, nad szranki mu zakreślone przez Scott'a, Manzoni'ego, Hugo, Spindlera, Rehfussa (?) i Alexis (Häringa).“ Wyżej nad te nowe próby niemieckie Scherr stawia Flaubert'a *Salambo*, przyznając mu siłę twórczą znakomitą. Z nowszych niemieckich dzieł z największemi pochwałami, z najzupełniejszym uznaniem mówi o Heyse'go tłumaczeniu poezji *Giusti*.

Nie znając zbioru tego, nie mamy prawa mówić, czy sąd to sprawiedliwy; ale się on nam tłumaczy charakterem samych poezji oryginalnych, które Scherrowi szczególniej przypadały do jego przekonania i smaku. To co mówi o wartości poezji włoskiego satyryka i śpiewaka, wcale przesadzonym nie jest. Epoka walki i przesilenia we Włoszech nie wydała potężniejszego, gorętszego, piękniejszego nad te poezje Giusti'ego. Heyse je *con amore* przełożył. Dahna, o którym wspomnieliśmy wyżej, z powodu krytyki Scherra, nowe już ukazało się dzieło — epos, pod tytułem

„Die Amalungen“ (Leipzig, Breitkopf i Härtel). Dahn nie posłużył się żadną treścią historyczną do swój epopei, jest ona utworem jego fantazyi. Rzecz dzieje się przed narodzeniem Chrystusa Pana, na gockich i duńskich wybrzeżach i Zelandyi, nosząc piętno epoki walk i namiętnych zapasów półdzikiego ludu... Dla poety nastęrczała się tu sposobność malowania obrazów wielkiej barwy i świetności i Dahn umiał korzystać z zadania... Jest-to, zdaniem wszystkich krytyków, najznakomitsze dzieło poety.

Po nieodżałowanym Anastazyuszu Grünie pozostałość literacka, o której głośzono że zawierać ma wiele nowych niewydanych pism jego, okazuje się złożoną podobno tylko ze zbioru wszystkiego, co w ciągu długich lat ogłaszane było i rozproszone po różnych wydawnictwach. Jest tam wiele szacownych, zapomnianych, lub mało rozpowszechnionych rzeczy.

Jubileuszów i rocznic mieliśmy do przesytu. Wiedeńskie „Kikiriki“ nie bez przyczyny umieściło rysunek, wystawiający jakiegoś jegomościa, który gdy załedwie rozpoczął mówić: „Mam lat 70“ — wszyscy słuchacze się rozbiegli. Stało się to zaraz po obchodzie Laubego jubileuszu, przeciw któremu on sam napróżno zrazu protestował, tłumacząc się że za życia mumią być sobie nie życzy.

Nieszczęśliwie wypadł obchód rocznicy stuletniej urodzin Henryka von Kleista, znanego poety i patrioty niemieckiego, którą d. 10 października na wielu scenach niemieckich przypomniano uroczystie. Później się dopięro okazało, że Kleist nie 10 października 1776, ale d. 18 t. m. w roku 1777 się urodził. Literackim wspomnieniem Kleista, było wydanie nowe (nowy układ dla sceny) jego komedyi „Dzban rozbity“, z uwagami i wstępem przez dra K. Siegena. Wiąże się z tą komedią historyjka, o której wspomina Zschocke. W pokoju jego wisiał sztych francuzki, zwany „La cruche cassée“, gdy go odwiedzali Kleist i Wieland, syn autora Oberona. Każdy z nich podjął się coś zrobić z tego tematu; Zschocke naturalnie nowelę (która w tomie 22 jego dzieł się znajduje), Wieland satyrę, z której zrobił potem komedię (Ambrosius Schlinge), Kleist nakoniec rodzaj zabawnej farsy, którą napisał w Króleweu w r. 1807. Sztuka jego, acz pełna humoru i dowcipu, na scenie szczęścia nie miała. Pierwsze jej przedstawienie w Wejmarze, za dyrektorstwa Goethe'go, najzupełniej się nie powiodło. Przypisywano to temu, że Goethe jednoaktową rzecz, szybko rozwijając się mającą, rozłożył na cztery akty. Zresztą społeczność wejmarska, jak słusznie zauważano, prędzej znieść mogła Kotzebuego i Ifflanda, niż szorstką i wyrazistą farsę Kleista. Kleist wydrukował swój „Dzbanek“ w r. 1811, ale sąd o nim nie zmienił się. Goethe nazwał go „sztuką problematyczną“. Później Schmidt w Hamburgu próbował go przerobić znowu dla sceny, i w tej postaci dawany był w Berlinie i w Wejmarze powtórnie, zawsze dosyć nieszczęśliwie, pomimo starannej gry aktorów. Czy nowa próba dra Siegena będzie dla Kleista pomyślniejszą—wątśmy. Wiadomą to jest rzeczą, że z czytania o scenicznym efekcie sędzić niepodobna, a warunki dobrego dramatu w przedstawieniu tak są różne od praw literackiej i artystycznej kompozycji, że rzeczy niemające istotnej wartości jako dzieła sztuki, na scenie doskonale idą, gdy przeciwnie najpoetyczniejsze utwory dramatyczne próby teatralnej nie wytrzymują. Wielką też częścią powodzenia każdego dramatu przypisać należy zawsze żywym jego tłumaczom, ich inteligencji i życiu, jakie wlać umieją w martwe słowa.

Mamy przed sobą niewielkie studyum, zasługujące tém bardziej na wzmiankę i ocenienie, że zasadnicza jego myśl jest uczciwa, sumieniem natehnia i odważnie wypowiedziana w chwili, gdy prąd przeciwny ogarnia całe Niemcy. Jest to dra G. Krätzingera, pastora w Mettenheim (w Hessyi nadreńskiej) rozprawa: „Zakon benedyktynów i kultura“ (Der Benedictinerorden und die Kultur). Autor dodał na tytule „protestanckie studyum wśród walki o kulturę (Kulturkampf) napisane (Heidelberg, Winter, 1876, str.

44). W historii cywilizacji Europy nikt nie zaprzecza wielkich zasług zakonu, którego godłem było: „Cruce et aratro.“ Znana jest pierwotna reguła św. Benedykta, która pracę czyniła obowiązkową, a każdy klasztor stowarzyszeniem zarazem religijnem i spółką korporacyjną. Lecz dziś, gdy w Niemczech całych modą jest i szalem bluzgać i czernić katolicyzm, a szczególnie zakony, nie przyznając im ani racji bytu, ani zbawiennego wpływu, jaki wywierały na cywilizację, potrzeba było uczciwego męstwa, żeby podnieść sprawę tę i stanąć w jej obronie. Dr. Krätzinger nie daje nam tu nie tak bardzo nowego, lecz wyjaśnia co kraje, w których po zaprowadzeniu chrześcijaństwa apostołami wiary i postępu byli benedyktyni, później cystersi, winne są tym pionierom cywilizacji. Przywodzi on piękną zasadniczą regułę, na której opierała się instytucja św. Benedykta, „próżnowanie nieprzyjacielem jest duszy.“ (Otiositas inimica animae). Benedyktyni to rzemiosła i sztuki wnieśli z sobą w lasy Germanii i w puszcze nasze. Autor kręśli pobieżnie dzieje zakładów, poczętych od biédnego szafasu, pod którego słomianym dachem pierwsza msza święta się śpiewała, pierwsze psalmy brzmiały, a rozkwitłych potem w kamienne gmachy i rozległe budowy. Oni uczyli kamieniarstwa, architektury, rzeźby, malarstwa, złotnictwa, nie licząc rękopisów, które się pod ich ręką mnożyły; oni z sobą przynosili latorośle winne, drzewa owocowe; oni osuszali pierwsze pola; ich domy były pierwszymi gospodami i schronieniem dla podróżnych. Większą część jarzyn, kwiatów, nasion ich ręka pierwsza rzuciła w ziemię. Przynać należy czcigodnemu autorowi tej rozprawy (która podobno była przeznaczoną do zbioru Virchowa i Holtzendorfa, a nieprzyjęta do niego dla swój treści), iż do pracy swój, szczerpłej rozmiarami, użył źródeł obfitych i najczystszych. Starczyłyby one na daleko obszerniejszą księgę, któraby jednak mniej znalazła czytelników i chybiła celu. Wprawdzie obraz byłby pełniejszym, ale wymiar sprawiedliwości zamierzony osiągnięty nie został dla ogółu.

Dziwnie się może wyda, gdy obok tej rehabilitacji zakonu, postawimy wzmiankę o pamiętniku Dawida Straussa; lecz pominąć tej literackiej autobiografii nie godziło się. Wydawcą ciekawej tej pozostałości po uczonym, którego badania tak wielki rozgłos miały, jest p. Edward Zeller. Najciekawszym jest w pamiętniku stanowisko autora „Życia Chrystusa“ do jego własnego dzieła, autokrytyka i sąd o niem. Strauss rozpoczął je w 26 roku życia, a następnie, kształcąc się i pracując, sam czuł jak zuchwałym był ten porów młodzieńczy, któremu siły nie sprostały.

Ciekawem także jest, jak Strauss tłumaczy się z napisania tej autobiografii. „W moich pierwszych teologicznych pracach tkwiło już usposobienie poetyczne. Niektóre jego dary mogłem wprawdzie zużytkować, ale całkowicie do praw swych ono nie przyszło. Często sobie za młodych lat myślałem: gdybym ja mógł romans napisać, nie byłby on może najgorszym. Ale na nieszczęście nie mogłem go stworzyć. Tu, w tej biografii, znalazł się ten mój romans, jaki miałem napisać. To czego ja mu dać nie umiałem — treści — życie mi ją dało gotową: wypadki, osoby, charakter, losy przynosiła mi historia moja. To czém rozporządzałem, dar żywego uprzytomnienia, ciepłego współczucia, plastycznego przedstawienia, któreby na uczucie i fantazyę czytelnika działało — dar, który w teologicznych moich pracach nie mógł mi posługiwać wcale — znalazł tu właściwe zastosowanie.“

Strauss żali się na swe życie zwichnięte i złamane; opowiada w sposób zajmujący szczególnie historią powstania pism swych, z których „Die Halben und Ganzen“ (Połowiczni i cali) najwyżej stawia jako polemikę. Nie grzeszy skromnością zbytnią. Swojego Voltaire'a pisał, jak powiada, dla księżny Alicyi, drugiej córki królowej Wiktoryi, księżny heskiej, a przyjaźń jaką go zaszczycała, odziedziczyła po siostrze, jak wiadomo, żonie księcia następcy tronu pruskiego. Strauss przedstawia się nam w pamiętnikach żywo, prawdziwie. Książka to dla każdego psycho-

loga, dla myślącego człowieka niepospolitój wartości.

Tylko ze względu na tożsamość rodzaju, godzi się tu zapisać pamiętniki malarza K. Blaasa (1815—1876), wydane przez Adama Wolfa (Wiedeń, Gerold). Nie mogą one zająć jako studyum psychologiczne, choć i w nich są momenta godne rozważy (jak na przykład opis rekolekcyi u jezuitów), ale jako obraz życia artysty, rozpoczynającego w ubóstwie i nieświadomości, instynktem, zawód, który tak świetnie się miał zakończyć — jako pełen kolorytu i barwy obraz z czasów Corneliusa i Overbecka — niezmiernie interesują. Cóż to za życie, co za walki! Jaka prostota i świeżość w opowiadaniu!

Karol Blaas żyje dotąd w Wiedniu, a że mu na wielkich zamówieniach zbywa, maluje pomniejszych obrazy. Freski, w których celował, nie codziennie się trafiają. Dziecię wioski, urodzony na pograniezu Tyrolu i Szwajcaryi, Blaas wyszedł z chaty wieśniaczej. W rodzinie swój był dziesiątym i ostatnim, a świat ujrzał w r. 1815. Ojciec jego był w Nanders młynarzem, piekarzem, rolnikiem, woźnicą, listonoszem; rzeźbił z drzewa figurki, zajmował się matematyką, geometryą, rysunkiem potrosze, a do 80-go roku życia słynął jako najlepszy strzelec. Z taką żelazną naturą urodził się i Karol, który już w siódmym roku życia puścił się na pierwszą swą wędrowkę do Botzen. W Innsbrucku, zobaczywszy pomnik Maksymiliana, począł ówieczkiem kuć głowę w ścianie i musiał uciekać, bo popsuł muru kawałek. Długo próbował różnych zawodów, nie mogąc nigdzie się ostać, póki nareszcie nie wziął się do malarstwa. Ale co przechodzić musiał, nim go krewny matki umieścił na naukę w Wenecyi!... Ciekawe tu jest spotkanie jego z Cornelusem, a ciekawsze jeszcze przystanie i wcielenie się do tak zwaney Nazareńskiej szkoły Overbecka, pobyt w Rzymie, duchowe walki które opisuje, charakter, jakie kręśli. W r. 1848 pracował jeszcze we Włoszech nad obrazami do kościołów węgierskich; w 1851 dano mu miejsce profesora w Wiedniu, które po krótkiej przerwie w 1856 r., objął nanowo od r. 1866. Najznakomitszym dziełem jego są freski w arsenale wiedeńskim (Ruhmeshalle), świadczące o wyborniej technice i talencie kompozycyi. Życie artystów we Włoszech, stosunki ich, wycieczki, uroczystości, sceny myśliwskie, z wielką świeżością, życiem i prostotą Blaas opisuje. Pamiętnik kończy się temi słowy: „Na wielkich robotach całkiem mi zbywa; maluję obrazki małe, szkice z życia ludowego i sceny mytologiczne, ostatnie szczególnie z upodobaniem, bo mi mundury i oręż w wielkich obrazach bitew dokuczyły bardzo. Pocięszam się tém przynajmniej, że i najwięksi mistrze małe obrazy malowali, a prawdziwy znawca sztuki w najdrobniejszym jej dziele piękno i wielkość myśli oceni. Na tém kończę notatki moje z pociechą w sercu i smutkiem, ale z tém uczuciem uspokajającym, że co mogłem na świecie osiągnąć najlepszego i najpiękniejszego, tego dostąpiłem: artystycznego zadowolenia, w małżeństwie szczęścia i doczekania się rodziny, która imię moje i powołanie przejmie po mnie.“ Spotkanie z Cornelusem, który nigdy kolorystą nie był, a nauczył Blaasa, jak ma Tycyana kopiować, tak opisuje: „Malowałem Tycyana Magdaleny w galerii Barbarigo — malowałem, ale z mojej roboty nie byłem kontent wcale. Przy oryginalnym koloryt mój wydawał mi się ciężki, nieprzeźroczyty, choć rysunek i wyraz dochowałem ściśle. W przejeździe swym do Rzymu, Cornelius zwiędzał tę galerię, w towarzystwie artysty mi znajomego. Ten mnie mistrzowi, dla którego miałem cześć największą, przedstawił. Prosiłem go, aby mi błędy mojej kopii wskazał, skarżąc się żem srebrego tonu, głębokości i ciepła kolorytu cudnego oryginału nie mógł pochwycić. Tak, rzekł Cornelius — to niełatwo przychodzi, mój drogi. Do tego trzeba się brać wcale inaczej.—Rzekłszy to, poprowadził mnie do nawpół skończonego obrazu Tycyana. — Tycyan, mówił dalej, podmalowywał i modelował, dając karnacją szarą prawie; potem nakładał świetne barwy lekko, przejrzysto, tak że szare tony prze-

gładały, i to mu jego ciepłą harmonią dawało.—Obraz, który mi Cornelius pokazał, był to Ece Homo. Głowa, piersi, ręce były pięknego kolorytu, tylko jedna ręka, na piersi spoczywająca, pozostała szarą i niedokończoną. Starczyło mi to za wskazówkę i nanowo kopią swą rozpoczęłem...“

Kronika paryzka.

Paryż, w końcu listopada.

Burze na niebie i na ziemi.—Anegdota o obleżonem mieście, z powodu miłośników wojny.—Morderstwa cząstkowe, jako świadectwo dzikości natury ludzkiej.—Ojciec Jacenty Loison w Genewie i jego wikary ks. Junka w Brukselli.—Rozwód z kościołem i z żoną.—O nowych planetach i o nowem zastosowaniu elektryczności.—Śmierć Maurycego Manna i malarza francuzkiego Diaz'a.—Kilka słów o talencie i o życiu tego ostatniego.—Nowe książki.—Słowo o korespondencyi Balzaka, wydanęj po raz pierwszy.—Nowy romans „Henryka“ p. Daudet'a.—Słowo z przełaję o nowęj óperze p. Massé „Paweł i Wirginia.“—Philaret Chasles i jego pamiętniki.—Pamiętniki Odilon'a Barrot'a.—Pan Verne i dokończenie jego romansu „Jan Strogof.“—O wartości tego dzieła kilka słów prawdy.—Nowa wycieczka do Niemiec p. Tissot'a.—Podróż do przyłączonych krajów.—Anegdota i spostrzeżenia autora.

Po kilku dniach przymrozków na początku tego miesiąca—oto znowu wróciły do nas ciepło i słońce. Pięknie i jasno na niebie, ale na ziemi się chmurzy. I ztąd i zowąd nadciągają „czarne punkta“, według wyrażenia nieboszczyka Napoleona III. Ogół prosi o pokój—gorętsi żądają wojny. Lecz gdyby takim zacieklom Risticzom opowiedział kto sławny apolog pewnego starego wojaka, możeby się prędko uspokoił... Ale zapominam, że niewszyscy znają może ten apolog. Otóż rzecz tak się miała.

Przy obleżeniu jakiegoś miasta, młody oficer żąda posłuchania u naczelnego dowódcy i odzywa się doń w te słowa: „Generale, obleżenie nasze zadługo się ciągnie. Jest sposób wzięcia miasta niezwłocznie, z małą bardzo stratą ludzi; dosyć poświęcić na to dwudziestu pięciu lub trzydziestu grenadyerów... To rzekłszy, tłumaczy swój plan i pokazuje środki wykonania. Generał słucha go cierpliwie, a gdy skończył, powiada mu: „Dziękuję panu. Potrzebuję namyślić się nad tē, a jeśli się zdecyduję poświęcić dwudziestu kilku żołnierzy, aby o kilka dni skrócić nasze obleżenie, przyrzekam ci uroczyste, że tobie tylko powierzę komendę tego oddziału.“

Ale nim przyjdzie do starcia na polu bitwy, instynkt zwierzęcy nie zasypia u ludzi. Widziemy wszędzie, wokoło nas i dalej, jakby straszliwe błyski przed burzą, krwawe morderstwa. W Anglii tajemnicze otrucie adwokata Bravo, dramat nierozwiązany dotąd; w Wiedniu zamordowanie pocztowego roznosiciela przez jakiegoś Włocha; w Rzymie znalezienie w magazynie drogi żelaznej paki z zasolonem ciałem młodej kobiety; tutaj nakoniec niewytłumaczone dotąd zabójstwa z bulwaru w Neuilly i z nadbrzeża Sekwany w Clichy.

W Neuilly chodzi o sprawdzenie, czy trup znaleziony w pokoju jednego ze znanych tu finansistów, był trupem człowieka co się sam zabił, czy też który zabitym został. W okropniejszej jeszcze historii z nadbrzeża w Clichy chodzi o znalezione w Sekwanie ciało młodej kobiety, rozciętej na dwoje i po wydobyciu z niej wnętrzości, rzuconej do rzeki, z uwiązaniem kamieniami do jednej i drugiej połowy ciała.

We wszystkich tych wypadkach widać rozmyślnie zamachy człowieka na życie bliźniego, a pobudkę ku temu znajdujemy w najniższej i najniżej-mniejszej pożądlivosti pieniędzy... Poniżenie więc moralne niesie swoje zatrute owoce. Cywilizacja, opierając się jedynie na materyalnych nabytkach człowieka, zawraca nas znowu ku dzikim bezdrożom ludzkości.

Nie zapomnijmy zapisać na naszych tabliczkach, że w Genewie ojciec Jacenty Loison zerwał nakoniec ostatecznie z tak nazwanym kościołem staro-katolickim, a jego towarzyszy i wierny uczeń, ksiądz Junka, prowadzi w Belgii rozwodowy proces z żoną, która mu zarzuca fałszywe świadectwa, jakich miał się dopuścić ten gorący re-

formator mniemanych nadużyć kościoła. Dokąd zajdziemy w tē odurzeniu i obłędzie?... Bóg jeden może to wiedzieć. Porzućmy więc te socyalne manowce, a szukajmy wytechnienia i odpoczynku gdzieindziej—ale gdzie?... chyba w nauce.

Oto akademia nauk słuchała ciekawych zapewne, ale niestety, bardzo problematycznych jeszcze przypuszczeń p. Leverrière'a, o planetach, albo planetach, krążących w takiej bliskości słońca, że jakby stopione, mówiąc słowy Mickiewicza, w jego światłości, nikną przed naszym wzrokiem, a nawet i przed teleskopami naszymi. Istnienia tych planet domyślać się każe z jednej strony pewien nieporządek w ruchach Merkurego, planety najbardziej zbliżonej do słońca; a z drugiej pewne przelotne plamy na słońcu, które zdają się być wypadkiem przejścia jakiejś planety przed tarczą słoneczną.

Drugim przedmiotem, który zajął uwagę akademii, było nowe, ciekawe, a bardzo ważne zastosowanie telegrafu, do przenoszenia ustnej rozmowy. Na piérwszy rzut oka zdaje się to niepodobnym, a przecież o rzeczywistości wynalazku, który, jak wiele innych w tym względzie, należy się Amerykaninowi, nie można już wątpić. Wynalazek ten opiera się na sposobie bardzo prostym zastosowania dzisiejszego przyrządu telegraficznego. Mając dane dwa punkta, dwie stacye A i B łączy się je drutami, czyli linkami. Na jednej z nich do zwykłego manipulatora przytwierdza się małeńki bębenek, pokryty błoną dźwiękową, przez którą przechodzi druciana linka przyrządu. Ponad tą błoną bębena umieszcza się różek, który po francuzku zowie się „embouchure“, a który służy do przyjęcia głosu we wszystkich dętych instrumentach. Na przeciwniej stacyi B. takiż bębenek przytwierdza się do przyrządu. Bębenek ten opatrzony jest także różkiem, ale wywróconym, jak w telegrafach pneumatycznych. Litery i wyrazy, wymawiane przez otwór różka stacyi A, odbite przez błonę bębena, spływają na linkę przewodniczącą i odbijają się wyraźnie na błonie bębena przyrządu stacyi B, dając się słyszeć dobitnie w otworze wywróconego różka. Doświadczenia te, sprawdzane dotąd na małej przestrzeni, udały się wybornie. Jest-to piérwszy krok uczyniony w tym kierunku, i spodziewać się należy, że dalsze ulepszenia nie dadzą długo czekać na siebie.

Wchwili kiedy to piszę, dwie mię dochodzą smutne wieści. O piérwszej wiécie już dawniej i lepiej odemnie, o śmierci Maurycego Manna.. Nie mam więc potrzeby dorzucać tu moich w tym względzie szczerych i serdecznych żalów. Powiem tylko, żeśmy tu wszyscy uczuli głęboko jego stratę. Dopiszcie to do długiej listy żałujących go rodaków, a jakkolwiek skromny, rzućcie i ten grosz wdowi do skarbniicy poświęconej pamięci zmarłego.

Drugą stratą, chociaż nam obcą, ważną przecież dla powszechności żyjącej duchem i pracą—jest śmierć znakomitego malarza francuzkiego Diaz'a de la Peña. Diaz rodził się w Bordeaux w 1809 roku. Rodzina jego pochodzi z północnej Hiszpanii, gdzie wielu jest Diaz'ów. Należał on do tēj znakomitej plejady artystów z 1830 roku, na której czele stali Ingres, Delacroix, Delaroche i t. p. Zdaje mi się nawet, że schodząc ze świata, zamyka on ten wielki cykl artystyczny, którego wpływ niezaprzeczone szeroko rozszedł się po świecie.

Diaz nie był wcale malarzem wielkim, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Był to pejzażysta *sui generis*, a przedewszystkiem kolorysta w wysokim stopniu. Dar ten wrodzony, którego zdobyć nie można ani nauką, ani wprawą, posiadał Diaz i używał go z wielką dla sztuki korzyścią. Powiedziałem że był pejzażystą *sui generis*; bo jego krajobrazy, to wiecznie prawie jeden zakątek lasu, powtarzający się bez końca. Ale w tym zakątku strumień tak cicho płynie wśród kwiecistej łąki; słońce tak jasno, tak pięknie świeci pomiędzy liśćmi i kwieciami, droga tak naturalnie się wije wśród piaskowego rozdołu, a myśliwy z wiernym psem u nogi, dziewczęta, dzieci, czasem biedna staruszka jakaś—tak się słicznie wydają w tēj u-

stroni leśnej—że trudno oczy oderwać, bo niezmierna siła prawdy kolorytu porywa widza za serce i za oczy. Niepodobna przejść bez uwagi przed najmniejszym nawet obrazkiem tego mistrza. Można go poznać wśród tysięcy innych.

Zostawił on wielką bardzo liczbę obrazów, lub właściwiej mówiąc obrazków, a dzieła jego, używając wielkiej wziętości, za wysoką też sprzedawały się cenę. W 1856 czy 1857 roku, sprzedawszy całą swoją pracownię, odbył Diaz podróż na Wschód. Nie zdaje się wszakże, aby to wywarło wielkie na nim, a raczej najego talencie, wrażenie. Diaz do końca pozostał tym kolorystą, jakim się okazał w 1840 roku. Mam u siebie dobrą fotografię, robioną z oryginału większych trochę niż zwykle rozmiarów, jego „Nimf oplakujących miłość.“ Gdyby redakcyja Tygodnika życzyła sobie tego, najchętniejbym jęj udzielił. Jest-to obraz z najlepszęj epoki jego talentu, z roku 1851. Nie wiem do kogo oryginał dziś należy. Diaz umarł w południowej Francyi, w Mentonie blisko Nicei, d. 18 listopada, na piersiową chorobę. Jeden szczegół jeszcze: był on kalęką na lewą nogę, której mu brakło po za kolano; chodził o szrudle. Opowiadają o tēj szrudle następną anegdotę. Miał on w pracowni obraz, dosyć sporych rozmiarów, z figurami kobiet i dzieci, jak zwykle, igrających na łące wśród lasu. Jeden ze znakomitszych kupców w Paryżu zyczył sobie nabyć ten obraz, ale, jak zwykle każdy nabywca, targował się, marudził i nie szczędził nagany rozmaitym szczegółom utworu. Artysta w początku żartował; ale widząc, że kupiec nie podnosi ceny—Czy też doprawdy—rzekł—obraz ten panu się podobał i czy na seryo chciałbyś go nabyć za cenę którą mi ofiarujesz?—Oto moja ręka—odpowiedział kupiec—nie zmienię słowa i natychmiast jestem gotów zabrać go ze sobą.—A, to co innego—odparł Diaz, i podniósłszy swe szrudło, pechnął niēm gwałtownie w płótno i rozdarł obraz w kawalki.—Panie!—wrzasnął przestraszony kupiec, zrywając się z miejsca—to się nie godzi tak wyrzucać pieniądze za okno!—Nauucz się pan—spokojnie odpowiedział Diaz—nie targować się z artystami. Dla mnie pieniądze to rzecz poślednia... Choćbym był najbogatszy—dodał, wskazując na swą nogę—to i tak przecie nie oprawiłbym tego szrudła w brylanty, albo dukaty.

Mam również i fotografię jego, robioną z natury. Stara to kartka, ale że odznacza się wielkiem podobieństwem, gotów jestem również oddać ją na usługi Tygodnika (*).

Gdy mowa o pamiętkach i wielkich bezdzietnych mistrzach, pozwólcie mi powiedzieć słowko o wyszłych tylko co na świat dwóch tomach „Korespondencyi Balzaka.“ Znać go dobrze. Ożeniony z Polką pod koniec życia, stał on się przez to niby *civis polonus*; a jako pisarz tyle u nas, niestety! głów zawrócił, tyle łez wycisnął, że znany jest lepiej może, niż nijeden rodak. Otóż, aby go bliżej i lepiej poznać, aby przyniknąć aż do jego sypialni, że tak powiem, trzeba przeczytać te listy. Jest-to studyum niezbędne dla piszącej rzeczy, czytanie zajmujące i uczące, w pewnym względzie, dla każdego co czyta nie dlatego, aby prędkiej zasnąć, lecz dlatego, aby coś zachwycić z tego świata, gdzie rozum ma swoją dziedzinę otwartą dla tych, co się z nim znają i lubią obcować z nim często. Nie wchodzę w rozbiór, bo takich rzeczy niema co rozbiierać; ale zalecam czytać i czytać z rozmysłem.

Polecam również „Henrykę“ (Henriette), niewielki tomik zdolnego pisarza. Jest-to niby studyum z życia poselskiego, a rzeczywicie znakomicie osnuta i rozwiązana historia obyczajów społeczesnych, której akcyja odbywa się w tutejszym świecie politycznym. Gdy powiem że jęj autorem jest p. Ernest Daudet, uwierzycie zapewne, że nie przesadzam co do wartości dzieła. Jest-to jeden nietylko z lepszych (bo to niewieleby jeszcze znać) pisarzy Francyi, ale jeden z najzaciejszych piastunów pióra.

(*) Prosimy uprzejmie o jedno i drugie.

Nie prowadzę was do teatru, chociaż mógłbym dobrą dać notę nową operze komicznej p. Massé „Paweł i Wirginia;“ ale wiem że nie lubicie, abym wam rozpowiadał o tém obszernie, a nie rozpowiadając, jakże tu zrobić, żeby wilk był syty i owca cała? Poprzestaję więc na wspomnieniu, że to bardzo miłe, bardzo wdzięczne dzieło znane już mistrza i że, jeśli chcecie kilka chwil spędzić przyjemnie, to przyjeździecie do Paryża i... posłuchajcie.

Ale, ale... wyjeżdżając, kupcie sobie na drogę książeczkę, zatytułowaną skromnie: „Z życia Litwinki,“ tylko nie myślcie że to ja jestem jej autorem i że dlatego polecam ten nabytek. Kupcie, przeczytajcie, a jestem pewien, że ani się spostrzeżecie, jak wam czas upłynie... Piękne to, piękne jakby nasze pola, jakby nasze lasy, jakby nasze chatki... a wiecie ztamtąd taka pociecha, że zapytujesz sam siebie, gdzie człowiek ten zbierał słowa, z których każde jest jakby stary, bardzo stary przyjaciel, z którym po wielu latach Bóg da się spotkać niespodzianie i uściskać go serdecznie...

Ach! książki, książki! Ile to ich się drukuje przez jeden dzień tylko, tegoby już nie spisać i na wolowej skórce. Oto dokończenie Pamiętników Philareta Chasles. Był on profesorem literatury w Kolegium francuzkiem i napisał w ciągu swego życia całą bibliotekę książek, *de omni re scibili*. W tych pamiętnikach pośmiertnych jest jednak wiele rzeczy ciekawych, dotyczących się ludzi politycznych i literackich naszego czasu.

Daléj dokończenie Pamiętników Odilona Barrota, mniej ważne, choć niby poważne. Autor, jak wiecie, był to ideał tego paryzkiego mieszczaństwa z czasów Ludwika Filipa, którego mózg i serce, jak mówił Alfons Karr, spoczywały w brzuchu.

Co do książek dokończonych, nie zapomnijmy téż o romansie nowym p. Verne „Jan Strogof.“ Wywdzięczając się za wielką pokupność, jakiej dostąpiły w Rosyji jego romanse, p. Verne postanowił napisać studjum o Rosyji i Syberyi. Podług mnie jednak, jest-to najslabszy ze wszystkich utworów płodnego w tomy i tomiki autora. Nie zdaje mi się, aby ci, co tak gorąco przyjęli dawniejsze płody p. Verne, znaleźli w tym powierzchownym, bez żadnej wybitnej cechy romansie, równie zajmującą i równie bawiącą rozrywkę. Ale modne to teraz pisać książki, o których można sprawiedliwie powiedzieć to, co Mendelssohn mówił o grze w szachy— że to zalekcie na rzecz naukową, a znowu zacieżknie na zabawę.

Bardziej już zajmujący jest nowy tomik p. Tissota „Podróż do przyłączonych krajów“ (Voyage aux pays annexés). Wiele tam dowcipu, anegdot, ale téż może i więcej trochę rozwagi w bezstronnem ocenianiu tego, co wart Niemiec w pruskiej skórce. Nie od rzeczy wiedzieć o tém dla tych, którzy zmuszeni są ich niecierpieć. Widać w tém że autor szukał poważniejszej strony swojego przedmiotu. Oto na przykład co powiada na końcu swój książki i co miał słyszeć od jednego z mieszkańców przyłączonej do Prus Mülhousy: „Rys to rzeczywiście piękny i wzniosły w charakterze naszych wrogów, że na wspomnienie świętego imienia ojczyzny— Vaterland, wszystkie stronnictwa znikają, wszystkie klótnie ustają, i że w tych Niemczech, podzielonych wczoraj jeszcze, jedno dziś panuje serce i jedna myśl. Od chwili gdy Francya przestanie mieszać politykę z patriotyzmem, będziemy gotowi okrzyknąć znowu sztandar francuzki i zatknąć go na katedrze strasburskiej.“

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ach aktach,
ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA
przez
Sewera.

(Dokończenie).

LORD.

Ja zaś zatrzymuję dla siebie prerogatywę po-

dania pióra oblubienicy. (*Juliusz oddaje pióro lordowi.*)

KIDD.

Wasza lordowska mość przebaczy mi moję śmiałość. Zwyczaj prawny wymaga, aby oblubieniec osobiście podał pióro oblubienicy. Ostrzegam, gdyż później mogłyby powstać spory.

PEGGY.

Mogłoby być nieszczęście. (*Bull pocichutku bokiem przysuwa się do Peggy, ujmując jej rękę w swoje, jak w kleścze, i odciąga ją nabok, pokazując na migi aby milczała.*)

LORD.

Dla usunięcia więc kwestyj spornych, pióro zwracam oblubieńcowi. (*Juliusz odbiera pióro z rąk lorda i z zimną grzecznością oddaje je smutnej i bladéj Lidyi, która podpisuje i podaje pióro Northowi, North lordowi. Po podpisaniu aktu notaryusz chowa go do teki.*)

NOTARYUSZ.

A zatém skończone.

LORD (*głośno do domowników.*)

Świadkowie, czy jesteście obecni i przytomni?

PEGGY, BULL, POCOCK (*wolają*)

Jesteśmy!

(*Reszta uchyla głowy.*)

LORD.

A teraz... (*klaszcze w dłonie.*)

NORTH (*do Kidda.*)

Polecenie co do muzyki spełnione?

KIDD.

Projekt waszój lordowskiój mości wykonany.

NORTH.

Brawo. Podczas téj rozmowy rozsuwa się jedna ściana, odsłaniając w przedłużeniu wspaniały salon, oświetlony żyrandolami, napelniony gośćmi. Orkiestra w głębi gra walca Lidyi, podczas gdy chór go śpiewa. Służba zabiéra stół, odsuwa kozety i fotele. Naprzeciw gości, przy odgłosie muzyki, wychodzą lordowie, witając się z nimi, poczem następują przedstawienia młodéj pary gościom, co trwa aż do przegrania i prześpiewania całego walca.)

KAMERDYNER.

Mis Letty Cavendish i mister Brick.

LIDYA.

Ach!

JULIUSZ (*zdziwiony do siebie.*)

Letty!... i Brick. (*We drzwiach ukazuje się Letty w białej balowój sukni, družki z bukietami w ręku. Za nią Brick. Goście robią jej miejsce. Idzie pospiesznie na przód sceny.*)

LETTY.

Wasze lordowskie moście raczą mi przebaczyć spóźnienie (*Kłania się nisko lordom.*)

LORD.

Nie można było właściwszój chwili wybrać.

(*Pokazuje rękę na stojącą parę.*)

LETTY (*spozstrzegając Juliusza, wyciąga do niego rękę.*)

Pan Juliusz! O niedobry opiekunie! jakże można było milczeć o swojém szczęściu, przed tymi którzy cię tak kochają?

JULIUSZ (*trzymając rękę Letty.*)

Nie miałem czasu. Lecz z kąd się pani tu wzięłaś?

LETTY.

Z kąd się wzięłam? Szukałam cię, bojąc się. Zginąłeś, przepadłeś...

NORTH (*do lorda.*)

Wybornie, wysmienicie!

LORD.

Dobrze się układa.

LETTY (*do Lidyi.*)

Od chwili gdy usłyszałam twé imię, pani, pokochałam cię. Czy pozwolisz się kochać biédnej Letty? Jeżeli kochasz mego opiekuna, to dla czegoż nie masz pozwolić aby cię Letty pokochała? (*Wyciąga rękę do Lidyi.*)

NORTH.

Jeżeli Letty sprzyja panu Brick... (*Brickowi, stojącemu nieśmiało opodal, wypada kapelus z rąk. Goście i domownicy spoglądają na niego.*)

LETTY (*spuszcza oczy.*)

Jeszcze nie zdecydowano.

NORTH.

Jakto? i dotąd jeszcze pan Brick nie zebrał się na odwagę, aby wynurzyć swe uczucia?

LETTY.

Dotąd jeszcze...

KIDD (*do Northa.*)

Wybornie! mój lordzie. (*Lidya patrzy na Juliusza, przybliża się do niego, wsuwa mu rękę pod ramię i przyciska je z uczuciem do siebie. Juliusz spogląda na Lidya, która spuszcza oczy.*)

LORD.

Ośmielimy go.

NORTH.

A gdyby pan Brick został mianowany bankierem lordów Harvey i Bourghley, wtedy możeby i wybuch jego uczuć nastąpił.

LETTY (*do Lidyi.*)

Pan Brick bardzo nieśmiały.

NORTH.

Panie Brick!

BRICK (*nieśmiało.*)

Jestem, mój lordzie.

NORTH.

Decyduj się.

BRICK.

Na wyrażenie moich uczuć, czy na przyjęcie tak zaszczytnego wezwania?

LORD.

Na jedno i na drugie.

NORTH.

A śmiało!

BRICK.

Co do kwestyi przywiązania (*zbliża się nieśmiało do Juliusza, podając mu rękę, i kłania się Lidyi*) fakt jest skonstatowany, co może zaświadczyć pan Juliusz. Lecz jeżeli mnie nienawidzą, jeżeli uciekają, gdy oświadczam, że chociaż nie jestem uczonym, mogę być uczciwym mężem...

KUFF (*przerzywa.*)

Falsz, fałsz!...

BRICK (*do Kuffa.*)

To jeszcze kwestya, mój panie.

NORTH.

Kwestya, panie Kuff.

NOTARYUSZ (*do Kidda.*)

Wszystko jest zakwestyonowaném; dziś rodzą się same kwestye.

LETTY.

Czyś pan słyszał kiedy, abym mówiła o nienawiści?

NORTH.

Widzisz, nie słyszałeś, panie Brick, a tchórzysz. Nasz bankier powinien mieć odwagę. Odważnie więc, panie Brick! (*Pokazuje aby się zbliżył do Letty. Brick idzie nieśmiało, zbliża się, stawia kapelus na dywanie, wyjmuje chustkę, rozkłada ją i kłęka na nią. Letty chowa oczy w bukiet.*)

LORD.

Śmiało, śmiało!

NORTH.

Ostro!

BRICK.

Panno Letty!..

NORTH.

Daléj—choć nie jestem...

BRICK.

Chociaż nie jestem uczonym...

NORTH.

Potrafię kochać i będę...

BRICK.

Potrafię kochać i będę uczciwym mężem.

LETTY (*podaje rękę Brickowi.*)

Panie Brick, powstań i nie myśl, abym cię nienawidziła. (*Brick wstaje i całuje Letty w rękę.*)

LIDYA (*do Juliusza, patrząc mu w oczy.*)

Juliuszu, czy odejdziesz? (*Kładzie głowę na jego ramieniu i patrzy mu w oczy.*) Gdybyś odszedł, pójdę za tobą. Czyż mnie odepchniesz?

NORTH.

Kidd, przystap do wielkiego dzieła i wywiąż się z niego, jak przystało na jednego z Kiddów. (*Kidd bierze rulon papierów, kłania się poważnie, obciera usta chustką, zbliża się, rozwija rulon i czyta poważnie:*)

My królowa Wiktorya I połączonych królestw etc. etc. oświadczamy.

NORTH.

Słuchajcie! (*Goście i domownicy zbliżają się.*)KIDD (*czyta dalej*).

Na prośbę podaną przez naszego lorda North Northamptonshire Burghley, o adoptację i zatwierdzenie wyboru jego następcy, oraz na mojej podwójnych koligacji domów Burghleyów ze Stanleyami (*Lidya patrzy się w oczy Juliusza i tuli się do niego. Kidd, odchylając od oczu papier.*) Raz miało to miejsce za czasów Karola II-go; wtedy Bourghleye...

NORTH (*przerywa*).

Objaśnienia później.

KIDD (*czyta dalej*).

Zezwalamy, aby uznany Juliusz syn Edwarda Stanleya z Yorkshire, był przyjęty za syna i następcę lorda Bourghleya, pod imieniem Juliusza III-go (*Kidd podnosi rękę do góry i wraz z domownikami woła*). Niech żyje młody lord! Niech żyją starzy lordowie! (*Peggy rzuca się w objęcia Bulla i płacze.*)

POCOCK (*placze*).

O Boże, Boże! albo do fosy, albo do ołtarza.

KUFF.

I Grecyą pokochał.

LETTY.

Mój opiekun jest lordem!

BULL (*do Peggy*).

Oto tak się nasi panowie bawią! (*Lordowie sciskają się, Juliusz wyrzuca się z objęć Lidyi.*)

KIDD.

Niech żyje królowa!

DOMOWNICY I GOŚCIE.

Niech żyje! (*Juliusz podnosi rękę i chce mówić; Lidya przestraszona zatrzymuje go.*)

LIDYA.

Mój lordzie...

LORD (*z powagą wstrzymuje Juliusza*).

Teraz na mnie kolęj, mój panie! Pokochałeś ubogą sierotę z nadzieją i wiarą, że ci wystarczą siły do pracy i zapewnienia jej szczęścia w rodzinie. Lecz gdybyś się był dowiedział o jej milionach, uciekłbyś. Należało cię więc schwytać i uwięzić. Mówiłeś że towarzystwo nasze, prócz imienia i majątku, nie szanować nie potrafi, nie ocenić nie jest zdolne; że przedstawicielei prawości, rozumu i pracy traktuje z uśmiechem szyderstwa i pogardy. Gardziłeś więc niemi i pełen wstrętu gotów byłeś porzucić tę, która cię pokochała, aby... nie mogąc być w jej sferze równym, nie okazać się niższym.....

NORTH.

Dla następcy lorda Burghley niema towarzystwa na świecie, w którymby uważać się potrzebował niższym lub młodszym, choćby o jeden rok starożytności swojego imienia.

KUFF.

Northy przeciw Agrykoli walczyli jako wodzowie. (*Spoglądając na Kidda. Kidd wzrusza ramionami.*)

NORTH (*do Kuffa*).

Dziękuję ci, panie Kuff.

LORD.

Należało więc zatrzymać cię w naszym kole, nie chcąc upokorzenia i boleści tego dziecięcia, a na twą nieufność odpowiedzieć zaufaniem, oddając ci nasze imię, przyszłość naszych rodów i majątek.

JULIUSZ.

Ależ....

LORD.

Ależ zostając lordem Burghley, nie przestajesz być sobą, nie przestajesz być obywatelem Anglii. Czyż się wyrzekasz przez to swoich prac i zajęć? W naszym przekonaniu, mój panie, tylko horyzont twój działalności się rozszerza, tylko obowiązki się powiększają, jakie na obywatela wkłada uzyskany majątek i stanowisko. Czyż przez to że zostałeś lordem, katedra dla ciebie zostanie zamknięta? Nie! lecz zarazem otwarte podwoje parlamentu, w którym będziesz mógł bronić, lub dopominać się nowych praw dla narodu. Czyż jako człowiek szlachetny nie posiadasz w swém sercu ideałów i pragnień zrobienia czegoś dla ludzi i społeczeństwa?

LIDYA (*z rozczuleniem*).O ma je, ma! (*Tuli się do niego.*)

LORD.

A więc mając miliony, mój lordzie, masz środki — pracuj! Mając imię, masz stanowisko — korzystaj z niego! I tak powinienes uważać dar swego ojca (*pokazuje na Northa*), uczyniony ci przez miłość dla naszej córki.

NORTH (*wzruszony*).Synu mój! (*Roztwiera ramiona*).

JULIUSZ.

Mój ojcze! (*Sciskają się z Northem wzajemnie. Lidya pada w objęcia lorda.*)

NORTH.

A chociaż jesteś wigiem do szpiku kości, nie wymagam, nie mam prawa żądać od ciebie zmiany przekonań. W izbie gmin walczyć będziemy na cześć Anglii, a w domu się kochać. (*Kidd zapisuje z wlnego popędu.*)

JULIUSZ (*w uniesieniu*).

Rozumiem twoją szlachetność, najszlachetniejszą z torysów.

LORD.

Wszędzie, wszędzie są ludzie, byle ich bez uprzedzeń szukać.

LETTY (*do Juliusza*).

Mój lordzie, jakżem ja szczęśliwa! (*Do Bricka*). Panie Brick, powinszuj mojemu opiekunowi.

LIDYA (*zbliżając się do Northa*).

Drogi ojcze, przebacz i kochaj mnie. (*Daje mu czoło do pocałowania.*)

NORTH (*całując ją*).

Ja się rzadko bawię, ale dobrze.

LORD (*do domowników*).

Pójdźcie tu, moi wierni towarzysze, dzielić z nami radość naszą. (*Peggy całuje rękę Lidyi, inni się zbliżają.*)

KAMERDYNER (*wchodząc*).

Ksiądz czeka w kaplicy.

NORTH.

Dwa śluby razem.

LETTY.

Ach, tak już prędko?

NORTH.

Im prędej, tém lepiej. (*Do Bulla*). Więc nie- zle jest milczeć i powozić, Bull!

BULL.

Niech żyje nasz lord!

POCOCK (*podnosi w górę rękę, a z nim i wszyscy inni*).

Niech żyje stara Anglia!

KUFF.

Ale niech żyje i Grecyą!

LORDOWIE (*z towarzystwem również podnoszą ręce w górę*). Niech żyje! (*Muzyka zaczyna grać poloneza. North podaje rękę Lidyi, lord Letty. Panny z towarzystwa Juliuszowi i Brickowi. Muzyka gra dalej—pary się posuwają.*)

Zasłona spada.

KONIEC.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(*Dalszy ciąg.*)

Do konkluzji tej doszedł przed gmachem, przed którym stały dwie budki strażnicze, jedna po jednej, druga po drugiej głównego wejścia stronie. Gmach był obszerny i piętrowy. Okna niektóre błyszczały oświetleniem wewnętrznym, resztę zalęwała ciemność. Był to gmach policyi. Młody Orchowski zatrzymał się machinalnie, podniósł głowę, powiódł oczami po szeregach okien i westchnął. Przyszedł mu na myśl Józef, poczciwy, pracowity rzemieślnik; przyszło mu na myśl: czy też nie padł on ofiarą Kaźmirza?

— On tu w tej chwili... rozmyśla, rozpamiętuje i, kto wie, może przeklina brata...

W rzeczy samej, Józef znajdował się w gma-

chu policyjnym, ale nie rozmyślał, nie rozpamiętywał, ani przeklinał, stał bowiem przed sędzią śledczym, odpowiadając na zadawane sobie pytania. Izba, w której się czynność ta odbywała, nie zawierała w sobie ani ozdób, ani mebli dużo. Pomiedzy środkiem jej a jedną ze ścian stał stół podłużny, ciężki, dębowy, zielonym suknom przykryty. Do stołu tego przypiętał pod kątem prostym drugi, mniejszy. Za pierwszym znajdował się fotel skórą obity, za drugim stołek prosty. Dwa inne stołki stały, jeden w kącie, drugi pod ścianą. Izbę oświetlały dwa okna, jedno za fotelem, drugie z boku naprzeciw stołu mniejszego, co oznaczało że pokój ten był narożnym. Na ścianach półek żadnych.

W chwili, w której do izby tej wprowadzam czytelnika, znajdowały się w niej cztery osoby: jedna zajmowała fotel, druga stołek przed stołem większym na środku, w punkcie takim, że całe oświetlenie zléwało się na jej oblicze, pozwalając trzem innym obserwować na takowym najmniejszej muskułów drgnienie. Przed pierwszą leżał arkusz białego papieru i ołówek, który ona kiedy niekiedy do ręki brała i coś nim zna-czyła, lub po stole zlekka stukająca; druga zajęta była pisaniem; trzecia siedziała z boku. Cztery te osoby były: pierwsza sędzią śledczym, druga pi-sarzem, trzecia agentempolicyi, mężem budowy a-tletycznej, czwarta poczciwym naszym Józefem.

Józef wyglądał jakby złamany moralnie.

Gdy go wprowadzono i przed sędzią posta-wiono, zawołał, nie czekając na zapytanie żadne: — Panie, nigdy się nie spodziewałem, nigdy mi się nie przysniło, ażeby mnie kiedy w życiu hańba taka spotkać miała!..

Sędzia pilnie mu w oczy popatrzył i zapytał:

— Jak się nazywasz?..

— Nazywam się Józef Odrębski... Znaję mnie ludzie, kotlarze szczególnie, majstrowie wszyscy i czeladź. Tu terminowałem, tu się na czeladnika i na majstra wyzwoliłem, tu mieszkam od lat piętnastu... znają mnie... Niech pan zwoła wszystkich i zapyta czy na mnie cień pada bodaj najmniejszyl czy' kto ma do mnie pretensyą na główkę od szpilki!.. czym co komu wziął na obwinienie pal-cal.. Panie!..

Łzy mu się cisnęły do oczów. Mówić dalej nie mógł.

Sędzia wysłuchał spokojnie i zapytał obojętnie:

— W którym urodziłeś się roku?

— Albo ja wiem!.. Wiem tylko, że chciałbym, ażeby się w tej chwili ziemia podemną zapadła!..

— Ile masz lat?

— Ile ja mam lat?.. co to kogo obchodzić mo-że?.. co to do rzeczy należy?

— Z tego przecie sekretu robić nie masz po-trzeby...—zauważył sędzia.

— Ja nie mam potrzeby sekretu robić z nicze-go... Ja byłem zawsze i jestem człowiekiem uc-zciwym...

— Nie o to chodzi!..

— A o cóż?

— O lata twoje.

— Czy mnie pan z tego będziesz sądził?

— Ja ciebie nie będę sądził z niczego... Moja rzecz rozpytać się ciebie, rozmówić się z tobą... Może z rozmowy tej wypadnie, żeś niewinien... tém-ci lepiej... Odpowiadaj mi tylko na zapyta-nia, oto wszystko czego wymagam po tobie.

— Na jakie zapytania?

— Na te, co ci je zadaje... Ile masz lat?

— Cztérdzieści jeden, czy dwa.

— Ot i dobrze.. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś liczbę dokładniej oznaczył.

— Mnie to nie obchodziło wcale. Pilnowałem mojej roboty i tyle...

— Wiész przecie, gdzie się urodził?

Józef wymienił miasteczko, w którym rodzice jego mieszkali, dodając że i rodzice tam się po-rodzili.

— Czém się trudni i jak ma na imię twój oj-ciec?

— Ojcu na imię Bazyli, matce Barbara; ojciec mój profesyi szewckiej.

— Szlachcic? mieszczanin?

— Mieszczanin z dziada pradziada... do szlachectwa my się nie pniemy.

— Jakiś jesteś religii?

— Katolickiej... ale...

— Profesji?...—podechwycił sędzia, przerywając.

— Kotlarskiej... Jestem majster kotlarski.

— Masz dużo rodzeństwa?

— Dwóch braci i dwie siostry.

— Jednemu z braci na imię Kaźmirz?

— Kaźmirz.

— Ten dobrze się tobie przysłużył...—rzekł sędzia tonem od niechęci.

— Co się miał przysługiwać?

— Wiész o tém lepiej odemnie, chociaż i ja wiem dobrze... Taki to teraz świat: ty na człowieka chlebem, człowiek na ciebie kamieniem.. Nie byłeś karany nigdy?

— Nigdy.

— Nie byłeś nigdy sądzony?

— Nigdy.

— Świadectwo pewne, żeś był i byłbyś nazawsze pozostał uczciwym, gdyby cię nie wciągnął brat rodzony... Ale to rzecz ludzka... Człowiekowi zdarza się potknąć i zawinąć; człowiek nie jest aniołem... Kto, jak ty, uczciwym był życie całe i raz zbłądził, temu się poprawić łatwo, byle tylko otwarcie i z całą szczerością do winy się przyznał... Taki, wierząc mi, ani we własnym sumieniu, ani w opinii ludzkiej szacunku nie straci.

— Ja bo do żadnej winy przyznać się nie mogę...

— Jeżeli nie zechcesz... Uprzedzam ciebie, że ja cię zmuszać nie będę... Przyznasz się, dobrze, nie przyznasz się, mniejsza o to... Pamiętaj tylko, że staniesz przed sądem, wyznaczającym karę, w wymiarze której główną uwagę zwraca się na to, czyś się przyznał, czy nie... Dowód przeciwko tobie jest...

— Dowód? — zawołał Józef.—Jam zgłupiał, gdy dowód ten zobaczyłem... Nie wiedziałem co myśleć i co mówić... Spadło to na moją głowę, jak piorun z jasnego nieba... Ale teraz, kiedy ochłonął nieco, teraz ja myślę, że mi kto chyba podrzucił...

— I to być może... Widzę że jesteś do przyznania się na połowie drogi.

— Nie na połowie jestem, ale na całej...—podechwycił Józef.—Nie potrzebuję ja połówką chodzić.

— Kto ci podrzucił?

— Albo ja wiem!

— Na kogo masz podejrzenie?

— Na nikogo.

— Zapięcie się nie przyda się na nic, tylko doprowadzi do tego, że postawię obok ciebie kogoś, co ci w oczy powie...

— Co powie?..

— Jakim sposobem naszyjnik pani Orchowskiej przeniósł się z pałacu hrabiego Przesielskiego pod twój siennik.

— Ja o tém nic nie wiem.

— A ja wiem.

— Od kogo?

— Od brata twego, Kaźmirza.

— Jeżeli Kaźmirz wie, to po cóż ja pociągnięty zostałem?..

— Jako spółwinny.

— Z kim i w czém?

— Z bratem twoim, Kaźmirzem, w kradzieży naszyjnika.

Józef głową wstrząsnął, podniósł ją do góry, dłońmi się po czole potarł i zawołał:

— Waryacya mnie się chwytła.. Ja tu nic nie rozumiem...

— A przecież rzecz taka prosta—rzekł sędzia powoli, wpatrując się pilnie w grę fizyognomii Józefa.—Kaźmirz skradł naszyjnik i...

— Ha!... — głuchym ryczeniem odezwał się Józef, podnosząc pięści zacisnięte.

W chwili téj siedzący w kącie policyant wstał i coś z rękawa wysunął, przybierając postawę oznaczającą gotowość do skoku.

Na obliczu sędziego nie drgnął muskulik ani jeden. Z obojętnością jaknajzupełniejszą, trzymając ołówek w ręku, spoglądał na Józefa, który

z zacisniętymi pięściami i z wlepionym w sędziego wzrokiem pozostał przez chwilę, następnie ręce opuścił, brwi zmarszczył, odetchnął z głębi piersi i, głową pokiwawawszy, gorzko się uśmiechnął.

Policyant usiadł na stołeczku napowrót.

— Widzisz więc...—rzekł sędzia.—Ja wiem...

— Wiész, panie sędzio, ale niedokładnie.

— Zapewne... Nie chodziłem z Kaźmirzem do pałacu po naszyjnik...

— Ani ja z nim nie chodziłem...

— Nie posadzam cię też o to... Kaźmirz, cztery dni temu, przyniósł naszyjnik i dał ci go do przechowania...

— Nie, nie tak było.

— Jakże?

— Naszyjnik przyniosłem ja sam.

— Zkąd?

— Z pałacu hrabiego Przesielskiego.

— Wziął go jednak Kaźmirz z sypialni pani Orchowskiej?

— Nie.

— Któż?

— Wziąłem go ja sam.

— Kaźmirz ci drogę pokazał.

— Nie.. Cobym ja był za złodziej, gdybym potrzebował, ażeby mi kto drogę pokazywał!...—powiedział z ironią.

Policyant w kącie chrząknął, pisarz się na siedzeniu poprawił, sędzia ze zdziwieniem w oczy Józefa się wpatrzył. W oczach tych świecił spokój sumienia, połączony z wyrazem determinacji. Wyraz taki właściwy jest ludziom mówiącym prawdę.

— Więc ty sam dopuściłeś się kradzieży?

— Sam, panie sędzio.

— Czemuż nie przyznawałeś się piérwój, a przyznajesz się teraz?

— Bo mnie tknęło sumienie. Co ma niewinny za winnego cierpieć!

— Kaźmirz więc?..

— Proszę, panie sędzio, nie wymawiać nawet pod dachem tym imienia jego... Ja sam poszedł, sam wziął, sam przyniósł i sam pod siennik włożyłem...

Sędzia znów się w niego wpatrzył i, milcząc, namyślał się. Z oczów jego biło niedowierzanie.

— Bywałeś przedtém kiedy w pałacu hrabiego?—zapytał po chwili.

— To jest.. hm.. bywałem.

— Umiész pisać?

— Trochę...

— Czy mógłbyś mi... ot tu—podsunął papier i ołówek—odrysować rozkład pokojów?

— Ja o rysunku wyobrażenia nie mam..

— To powiedz-że mi przynajmniej: sypialnia pani Orchowskiej na dole, czy na piętrze?

— Na piętrze... — odrzekł Józef pośpiesznie, łypiąc oczami.

— Od frontu, czy od ogrodu?

— Od ogrodu.

— Jakże to było?..

— Co jak?

— W jaki sposób dokonałeś kradzieży?

— A ot jak... Poszedłem do pałacu, słyszałem bowiem że mają tam miedzianego naczynia dużo do pobiałej i reparacji. Przychodzę, otwieram drzwi do sieni... nikogo, otwieram do przedpokoju... nikogo, otwieram do pokoju... nikogo. Wracam, chrząkam, nikt się nie odzywa; postąłem trochę i przyszło mi na myśl wejść na piętro; idę po schodach, otwieram drzwi jedne, otwieram drugie, trzecie, wchodzę do jakiegoś pokoju... łóżko, dywan, zwierciadła... Niebardzo się rozpatrywałem, bom zoczył ten naszyjnik przeklęty, który mnie oslepił i skusił; pochwyciłem go, pod poję schowałem, wyniosłem się na palcach tą samą drogą com przyszedł i.. ot...

Podczas opowiadania tego pot kroplisty wystąpił Józefowi na czoło. Spieszył się, jakby się lękał, ażeby, gdyby odetchnął, wątku mu nie zabrakło. Skończył, ręce opuścił i z wyrazem lekkości jakiejś w oczach na sędziego patrzył.

— Pamiętaj-że—rzekł ten ostatni—żeś na siebie wyrok napisał.

Oblicze Józefa okryło się białością chuściana.

— Przyznajesz się?

— Przyznaję.

— Do kradzieży bez spółników?

— Bez spółników.

— Czyś się dopuszczał kradzieży jakiej przedtém kiedy?

— Nigdy żadnej.

— Sąd przyznanie się twoje uwzględni i wyznaczy ci karę mniejszą, ale... wyznaczy karę za złodziejstwo... Nim kolój na sprawę twoją przyjdzie, pozostaniesz w więzieniu, które postaram się ażeby było jaknajłżejsze, w granicach przepisów obowiązujących... Będiesz mógł, jeżeli zechcesz, widzieć się z bratem.

— Z bratem? nie!

— Czemu?

— Bo... bo... w oczybym mu patrzyć nie śmiał.. Sromocąc siebie, osromociłem i jego.

Łzy mu z powiek popłynęły i po wąsach spływać poczęły.

Sędzia wstał; policyant się wyprostował, przybierając postawę żołnierską.

Słedeza czynność skończyła się.

Odprowadzono Józefa do numeru, którego wyznaczenie świadczyło, że miano dla niego względy niejakie. Nie uważano go za złodzieja zwyczajnego, ale raczej za uczciwego człowieka, który uległ słabości chwilowo. Zachodziła wątpliwość co do prawdziwości zeznania jego. Zachodziło przekonanie moralne, świadczące przeciwko temu, ażeby on był rzeczywiście sprawcą kradzieży. Poszlaki wskazywały na Kaźmirza. Sąd jednak, nie tak jak hrabia i pani Ewelina pochopny do orzekania w materii podobnej, nie poprzestawał na poszlakach, lecz szukał dowodów i nie znajdował takowych. Kaźmirz wprowadził był bratem Józefa; Kaźmirz bywał w domu hrabiego; nie były to jednak dowody, lecz tylko wskazówki, naprowadzające na domysły. Domysły poszlakami nawet nie są. Ażeby takowemi zostały, należy je najprzód stwierdzić, to jest wesprzeć dowodami, dającymi to moralne przeświadczenie, że przedmiot takowych mógł się winy dopuścić. Przeświadczenia takiego władza nie posiadała, ani względem Józefa, ani względem Kaźmirza. U piérwszego znaleziono *corpus delicti*, zachodziła przeto konieczność aresztowania go i zatrzymania w więzieniu. To zaś samo, że *corpus delicti* znaleziono, usuwało drugiego z pod podejrzywania go wprost, a zatem nietylko z pod aresztowania, ale oraz i z pod rewizji. Nie było już czego szukać i nie było racji aresztować. Pozostawała czynność dochodzenia ubocznego, czynność wielce delikatna, wymagająca czasu i nadzwyczajnej zręczności.

Po odejściu Józefa z izby śledczej, z której wprowadziło go dwóch policyantów, czekających na niego na korytarzu, zawiązała się następująca pomiędzy sędzią, pisarzem a agentem policyjnym rozmowa:

— Cóż tedy?..—zapytał sędzia.

— Hm... — odpowiedział pisarz. — Przyznał się...

— Hm...—odpowiedział agent. — Przyznania się tego nie brałbym na moje sumienie.

— Któż więc kradzież popełnił?

Pisarz głową kręcił; agent odrzekł:

— Nie on.

— Brat więc?

— Nie wiem... Wiem tylko, że on jest przekonany, tak przekonany, iż gotówby w potrzebie gardło dać, że to nie brat...

Rozmowa na tém się urwała. Pisarz złożył papiery, wyszli i po ich wyjściu w izbie śledczej zapanowała cisza i ciemność.

Józef, znalazłszy się w więzieniu, doznawał uczucia w rodzaju swoim osobliwego. Zwały się w jestestwie jego moralnym dwie sprzeczności: zupełne zadowolenie, jakiego doświadcza człowiek po dokonaniu dobrego uczynku, i głucha jakaś a głęboka rozpacz. Działy one równocześnie. Jedna przejmowała go radością, druga niewysłowioną trwogą—trwogą podobną do téj, jaka przejmuje człowieka na śmierć skazanego. Ach! bo też i on widział przed sobą śmierć... moralną. Przed chwilą nie wyobrażał sobie, ażeby

mógł być posądzonym o kradzież i gdyby mu kto był o tém powiedział, roześmiałyby mu się w żywe oczy.

Stało się jednak tak, że nie tylko spotkało go posądzenie, ale sam się przyznał.

— Przyznałem się!..

Wyraz ten przejmował go zimnem, od którego doznawał drżenia.

— Przyznałem się do kradzieży... Gdybym się był jednak nie przyznał...

Nie domawiał reszty, z powodu przestrachu niewysłowionego, jaki go opanowywał. Po przestrachu tym atoli następowała reakcja nagła. Otrząsał się z niego w chwili jednej, uśmiechał się do siebie i oddychał głęboko. Walka ta wewnętrzna nie trwała długo. Nie było na nią miejsca. Józef, dostawszy się do celi więziennych, chciał chodzić i, gdyby tylko znalazł przestrzeń odpowiednią, byłby przechodził noc całą. Lecz rozpedził się w jedną stronę, rozpedził w drugą—tu kroków sześć, tam cztery—stał, rzucił się na prycę i, przewróciwszy się razy kilka z jednego boku na drugi, głęboko zasnął. Wielkie smutki mają to do siebie, że sprowadzają sen kamienny, będący naprawą naturalną nierównowagi wewnętrznej, jaka następuje w skutek wstrząśnienia, które nęka. Znękanie fizyczne i znękanie moralne naprawiają się jednakowo.

Józef przespał noc tchem jednym i zbudził się, jak zwykle, o świtanie. Zerwał się i oczy przetarł. Chciał huknąć na chłopaka-terminatora i kazać mu ogień rozniecić. Obejrzał się. Głębokie „ach!” z piersi mu się wydarło.

Przyszło mu wnet na myśl zapytanie:

— Cóż będzie teraz?

Nie umiał sobie na zapytanie to odpowiedzieć, doznał tylko uczucia takiego, jakiego doznaje człowiek na śmierć skazany, w dniu na wykonanie wyroku przeznaczonym. Robiło mu się na przemian to zimno, to gorąco; bał się i szukał ucieczki i pociechy raz w rezygnacji, to znów w nadziei. Powiadał sobie:

— Niech się stanie, co stać się ma.

To znów wydawało mu się niepodobnym, ażeby do więzienia jego nie przyszedł anioł, nie ujął go za rękę, nie wprowadził do gospody wśród rozprawiających szeroko majstrów i czeladników profesyj różnych i nie zaświadczył niewinności jego.

— Zdarzają się przecież cuda...—tak do niego nadzieja szeptała—a czyż może być po temu sposobniejsza pora? Ja—nie winny...

Mimowolnie czekał na anioła, zamiast którego zjawił się strażnik ze śniadaniem. Nie był on do anioła podobny, mimo to wejście jego sprawiło Józefowi przyjemność niejaką. Chciał się od niego dowiedzieć czegoś: zadał mu zapytań kilka; na wszystkie jednak zapytania otrzymywał odpowiedź jednakową, z wyjątkiem ostatniej. Odpowiedź jednakowa nie manifestowała się za pomocą brzmienia jakiegokolwiek. Strażnik poprostu ramionami ruszał i twarz marszczył. Wyjątkowa odnosiła się do zapytania wyjątkowego. Józef dowiedzieć się chciał, co go spotkać może.

— Co najgorszego, to to że powiesz; co najlepszego, to to że wolno puszczać...—odrzekł strażnik obojętnie.

— Mogą mnie wolno puścić?

— Czemu nie? Zdarza się to...

— Często?

— Hm... Jeżeli winy nie znajdą...

— Puszczają więc wolno niewinnych?

— Niezawsze i niekoniecznie... Nie ten winien co zbroił, ale ten co się wykręcić nie umie.

Strażnik wyszedł. Józef oczy zamknął i głowę spuścił.

Upłynęło godzin kilka najprzód, kilkanaście dalej—nadeszła noc, zawitał drugi poranek; upłynęło dni kilka. W położeniu Józefa żadna nie zaszła zmiana, wyjąwszy to chyba tylko, że się uregulował tryb życia jego więzienny i że oswoił się z nim. Nie pozostał też sam nadal. Samotnie spędził pierwszą noc. Następnie przeprowadzono go do izby wspólnej, gdzie znalazł się wśród licznych towarzyszy. Ale—towarzysze nie dostarczyli mu towarzystwa. Józef pozostawał

intruzem w gronie emerytów, którzy nim gardzili. Ztąd położenie jego nie było nader miłym. Przyzwyczaić się jednak można do wszystkiego. I on w końcu przyzwyczaił się do tego, że zajął stanowisko postrzegawcze. Przypatrywał się i przysłuchiwał z boku, dziwił się, medytował i czekał. Czekał na decyzję, mającą o losie jego stanowić.

Czekał długo—miesiąc prawie cały. Wydawało się mu już, że sądy i ludzie zapomnieli o nim. Czas upływał mu leniwo. Zaczynał już z tego nabierać przekonania, że przyjdzie mu na prycy więziennych znaleźć śmierć. Aż nakoniec doczekał się... nie śmierci.

Franio dotrzymał siostrze słowa, udał się nazajutrz do Kaźmirza i od pierwszego oka rzutu uznał go, w sumieniu swoim, niewinnym. Kaźmirz posiadał całą swobodę ducha, właściwą człowiekowi niewiedzącemu o niczym i niemającemu sobie nic do wyrzucenia. Na wstępie powitał gościa zapytaniem, czy nie zna wiersza Szewcenki p. t. „Do mojej doli.” Franio go nie znał. Kaźmirz zadeklamował utwór ten, aż do wykrzyknika, który się pocie z głębi przepełnionej żalem piersi wyrwał:

— „Jaki z nas lude!...”

— Dni temu dwa—mówił—powtarzałem sobie te wyrazy co moment... Dziś postradałem już prawo stosowania ich do siebie. Otworzyło się przedemną jutro ludzkie.

I opowiadał o zamiarach swoich.

— Dostałem—prawił—niby katedrę, z której będę przemawiał nie do ograniczonej liczby współtowarzyszonych słuchaczy, ale do tysięcy nieświadomych... Mam za zadanie tysiącom oczy otwierać.

I cieszył się tém, jak dziecko prawie.

Franio nie śmiał powiedzieć, w jakim przychodził celu. Dziesięć razy zaczynał i dziesięć razy sam czém inném zagadywał. Nie klęło mu się, tém bardziej że Kaźmirz, nie domyślając się niczego, odprowadzał go od przedmiotu o mil sto i zbijał z tropu mimowolnie. Aż zapytał:

— A pauna Helena?...

— Zdrowa...—odparł Franio i zająknął się.

— Mam z nią na pieńku, wybieram się doniej z wizytą, w celu rozproszenia mgieł, które się pomiędzy nami nagromadziły... Chciałem pójść wczoraj, ale nie mogłem od roboty się oderwać...

Franioowi zrobiło się tak, jakby go bojaźń owładnęła. Zdobył się wreszcie na odwagę.

— Nie, Kaźmirzu—rzekł—ty nie możesz do Helci iść z wizytą.

— Co?...

W zapytaniu tém zabrzmiało zdziwienie.

Franio wybąkał wyrazów kilka, pozbawionych logicznego i gramatycznego związku.

Kaźmirz patrzył mu w oczy wzrokiem, zawiązującym w sobie zapytanie w ciągu dalszym.

Franio, szukając w myśli odpowiedzi stosownej, nie słyszał jak drzwi się otwarły i do izby wkroczył gość niespodziany i nieoczekiwany. Nie słyszał tego i Kaźmirz, zaabsorbowany powiedzeniem Franio i nie widział gościa, aż ten rękę mu podał.

— Al...—wydarło się z piersi obydwom młodym ludziom naraz.

W okrzyku tym brzmiało uradowanie.

Gościem był nie kto inny, tylko pan Krzysztof Orchowski.

Przybycie jego takie na Franio wywarło wrażenie, jakby mu kamień z serca spadał.

Młodzi ludzie przywitali się z panem Krzysztofem, który usiadł i wnet zapytał:

— Cóż tu słychać?...

Franio głową znacząco pokiwał.

— Czy są już jakie podejrzenia, następstwa?...

— Przerazające, ojece...—odrzekł Franio.

Zamiana wyrazów ostatnich pomiędzy ojcem a synem była dla bohatera naszego niezrozumiałą.

— Ale...—dodał Franio pośpiesznie—Kaźmirz nie wie o niczym...

— Trzeba więc mu powiedzieć... Człowiek, w łamaniu się z losem przygotowanym być winien na ciosy nieprzewidziane i niesprawiedliwe...

Kaźmirz zwrócił na pana Krzysztofa oczy.

— Posądzony jesteś orzec haniebną... o... kradzież...

— Ja?...

Pan Krzysztof z uśmiechem rękę mu podał.

— Pan żartuje.

— Niestety, nie... Rzecz przykra, ponieważ jednak tyczy się ona ciebie bezpośrednio, trzeba więc żebyś wiedział.

Zawładnęła Kaźmirzem chęć nagła wyprzedzenia myślą oczekiwaną odpowiedzi. Wyobrazil sobie, że kradzież o której pan Krzysztof wzmiankował, odnosić się nie może do czego innego, tylko do zajęć jego, że się może okazała w przyjętym do druku opracowaniu, pod postacią plagiatu mimowolnego, że okradł kogoś z myśli, lub też ze sposobu wyrażenia takowych, i frazesów odnoszących nie zaopatrył w cudzysłowy. Podchwycił więc:

— Zapewne w artykule „O ciepłe i zimnie“...

Ależ w tytule wyraziłem, że się trzymał Tyndalla, a wykładając rzecz w sposób popularny, nie mogłem odsyłać czytelnika co moment do stronic i wierszy...

Pan Krzysztof się uśmiechnął.

— Nie o Tyndalla chodzi...—odrzekł.—Żonie mojej przepadł naszyjnik brylantowy...

— Na-szyj-nik?...—zapytał Kaźmirz, dzieląc wyraz na sylaby i wymawiając każdą w sposób śpiewany.

— Który—pochwycił Franio—policya znalazła pod siennikiem Józefa.

Pan Krzysztof zwrócił na syna pytające wejrzenie. Była-to dla niego wiadomość nowa i niespodziana. Franio dokończył:

— Józefa więc przyaresztowano...

Kaźmirz skamieniał, zjęty zgrozą i zdumieniem.

Panu Krzysztofowi brwi się zfałdowały i nozdrza rozdęły, jakby wybuchać miał; lecz się wyraźnie powściągnął, głową lekko wstrząsnął i rzekł tonem lapidarnym:

— Podrzucony...

Zapanowało chwilowe milczenie, przerwane tém, że Kaźmirz zerwał się i po kapelusz ręką sięgnął.

— Dokąd i po co?...—zapytał pan Krzysztof.

— Do Józefa!... do więzienia!...

— Czy mu co pomożesz?

Franio, w krótkich wyrazach, odpowiedział, że przedstawienie sprawy główne podejrzenie zwraca na Kaźmirza.

— Widzisz więc...—wynioskował pan Krzysztof—że wdanie się twoje może tylko szkodę przynieść... Zostaw nam cały ten interes, który nas dotyka jeżeli nie bardziej, to niezawodnie tak samo, jak ciebie... Wierz mi, jestem szczerym i prawdziwym przyjacielem twoim.

— Mam więc Józefa w więzieniu zostawić?...—zaprotestował Kaźmirz.

— Cóż poczniesz?!... On uwięziony, ty podejrzan... Uwięzienie zagraża i tobie, ty przeto trzymać się powinieneś zdaleka, albowiem wstawienie twoje uważanem być musi zgóry jako interesowane.

Słuszność uwagi tej była jasną. Rzuciła się niemal w oczy. Pomimo więc że Kaźmirzowi myśl pozostawienia brata własnemu losowi wydawała się wstrętną, musiał jednak zgodzić się na nią. Nie pozostawało nic innego. Przyjął tę myśl, jak się przyjmuje wyrok, i zdał sprawę całą na pana Krzysztofa, który wprost od niego udał się do sędziego śledczego.

Rozmówienie się i porozumienie z tym ostatnim nie zabrało czasu dużo. I w jego przekonaniu naszyjnik był podrzuconym.

— Ale przez kogo?...

— Podejrzewam osobistość pewną—odparł pan Krzysztof—której nie chciałbym w sprawę tę wplątać... Jest-to dla mnie materyja delikatna i drażliwa.

— I ja podejrzewam osobistość pewną...—były słowa sędziego.

— Kogo?...—zapytał pan Krzysztof.

— To tajemnica moja.

— W każdym razie nie Kaźmirza Odrębskiego.

— Hm... nie wiem...
 — Ja za niego głową ręczę...
 — Przyszłoby mi pan z pomocą niemałą — podchwycił sędzia — gdybyś podejrzenie swoje wykazał i umotywował... Mogłoby mnie to w dochodzeniu na drogę wprowadzić...

— Gdzie idzie o ratowanie niewinnych, tam na oszczędzanie chociażby najbliższych miejsca niema... Mnie się zdaje, że główną podrzucenia sprawczynią jest... żona moja...

Sędzia spojrział na niego szeroko otwartymi oczami.

— Córka moja wyznała przedemną, że kocha Kaźmirza Odrębskiego... a Kaźmirz Odrębski jest synem szewca...

— Rozumiem... — podchwycił sędzia i zamyslił się na chwilę. — Hm... Być może... Być może... Motywem pańskie ma za sobą prawdopodobieństwo. Jednakże...

— Wszak pan Kaźmirza aresztować nie każesz?..

— Bez dowodów, nie; obecnie zaś będę w tym względzie jeszcze ostrożniejszy. Materya to, jak pan słusznie powiadasz, drażliwa i delikatna. Jeżeli tak jest w rzeczy samej, dowiesć trudno. Z drugiej zaś strony fakt stoi...

— Fakt?... — zapytał pan Krzysztof.

— Znalezienia naszyjnika w pościeli kotlarza, który się do kradzieży przyznaje.

— Przyznaje się! — krzyknął pan Krzysztof, podskakując na siedzeniu. — To nieprawda!

— I mnie się tak zdaje. Ale gdzież prawda?

— Nie rozumiem nic.

— I ja rozumiem niewiele.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PORADNIK

DLA KUPUJĄCYCH KSIĄŻKI I NÓTY MUZYCZNE.

I. Książki.

1. STAN I SPRAWA ŻYDÓW POLSKICH W XVIII WIEKU. Napisał Władysław Smoleński. Warszawa 1876. Cena rubli srebrem 2. Ważny to przyczynek do tak zwaną kwestyi żydowskiej, przedstawiający stan tej kwestyi i usiłowania zaprowadzenia reform, na zasadzie mało znanych lub zapomnianych źródeł skróślony. Rozebrane tu są szczegółowo słynne z czasów wielkiego sejmku projekta Butrymowicza, Bezimiennego, Czackiego i projekt samego Stanisława Augusta względem reformy Żydów. Projektowano przywiązać ludność żydowską do kraju, zachęcić do zajęć rolnych, a przez zniesienie odrębności w ubiorze i zaszczepienie dzieciom żydowskim języka krajowego, oczekiwano że rozbudzi się w nich duch obywatelski. Radzono też obalić przesady żydowskie co do pokarmów, a nawet ograniczyć liczbę ich świąt. Wiadomo że nie z tego wszystkiego nie doszło do skutku, z powodu tak okoliczności, jak i oporu samych Żydów. Rabin i uczeni Żydzi sami powstawali przeciwko tym reformom, jak na przykład Moses ben Abraham, który w odpowiedzi swój na broszurę generała K. twierdzi, że „ubiór, żargon żydowski, pejsy nawet i broda są tarczą, osłaniającą Żydów od fatalnej ostateczności przerobienia się na ateuszów.“ Kwestya żydowska pozostała więc nierozstrzygniętą i dziś jeszcze pozostają mniej więcej te same, powyżej wymienione desideria. Winę takiego stanu Żydów zwała autor na rząd ówczesny i szlachtę, to obwiniając ją o nietolerancję i prześladowanie, to o niedbalstwo i zaślepienie. Więcej jeszcze niż na rząd i szlachtę, zarzut prześladowania Żydów spada, według autora, na duchowienstwo krajowe. W tém wszystkiém jest cząstka prawdy, ale twierdzenia zbyt bezwzględne zostają czasem z sobą w sprzeczności i same się zbijają, jak to widzimy niekiedy i u autora. Tak n. p. na str. 6 czytamy, że z położenia swego Żydzi byli zadowoleni, a przecież z ucisku i prześladowań nikt zadowolonym być nie może; a że istotnie było im dobrze

i dogodnie, w duchu odrębności, świadczą nie tylko rozmnożenie się tego narodu na ziemiach polskich i finansowa jego potęga, która przecie od razu, po długich wiekach ucisku, zakwitnąć nie mogła, ale świadczą także i sam opór Żydów przeciwko reformom najbardziej postępowym i religijną ich szanującym. Przeciwno autorowi może świadczyć i przytoczony przez niego mądry przywilej królewski, wkwęsty tak zwykłych dawniej oskarżeń Żydów o używanie krwi chrześcijańskiej. Przywilej wymaga, ażeby w każdej takiej sprawie było trzech świadków, uczciwych Żydów, a w razie niedowiedzenia, wyznacza na oskarżyciela karę śmierci. Przywilej ten, który Żydzi wielce czcili, wydał Zygmunt III, wystawiany zwykle jako uosobienie nietolerancji. Tu i owdzie znajdujemy w książce kilka błędów historycznych. Tak n. p. nie samo tylko przyjęcie obrzędów żydowskich przez Macieja Radziwiłła krajowego lit. było powodem ogłoszenia go za waryata i ustanowienia nad nim kurateli (str. 11), jak o tém obszernie można czytać w III tomie świeżo wydanych Pamiętników Matuszewicza; na stronie zaś 45 autor trochę nieogłędnie utrzymuje, że szereg obserwacji nad socjalno-politycznym położeniem Polski rozpoczyna się w drug. połowie XVIII stulecia, lubo wiadomo że „O naprawie rzeczypospolitej“ pisano najwięcej i najlepiej już w XVI wieku. Pomimo tych usterek, książka jest godną zalecenia, jako bogaty zbiór zapomnianych dziś szczegółów i poglądów do porównania i zestawienia. Język wogóle czysty; zauważyliśmy tylko zbyt częstą obfitość wyrazów obcych, którym niekiedy niepodobna nawet przyznać praw obywatelstwa w naszej mowie, jak n. p. przymiotnikowi *intolerancyjny* (str. 40, 41) i inne.

2. WYDAWNICTWO MICHAŁA GLÜCKSBERGA. Zeszyty I—IV, Warszawa 1876. Pomimo tytułu zjawiających się ciągle przekładów z obcych języków, znaczna część najlepszych utworów zagranicznych pozostaje nam jeszcze nieznaną. Pochodzi to ztąd, że tłumaczą się najwięcej powieści, na codzienną strawę dla czytelników tytułu czasopism, a dzieła poważne zawsze jeszcze łatwiej znajdują tłumaczy niż czytelników i, co za tém idzie, nakładców. Dlatego każde wydawnictwo poważne tego rodzaju bywa połączone z ofiarą i nie jest świetnym interesem dla wydawcy, zasługuje więc na słowo uznania i zalecenia, tém bardziej, jeśli nie jest doborem dzieł w jednym jakim kierunku, n. p. w modnym niedawno duchu pozytywnym. P. Gl. w prospekcie swego wydawnictwa zapowiedział przekłady niektórych dzieł pierwszorzędnych, jak n. p. Szkiców Macauleya, Obowiązku Simona, Historii Stanów Zjednoczonych Labouleya i innych, będących na dobie i cennych, jak Islam w XIX wieku Vamberego i rzecz o społecznej psychologii pozytywnej przez Ribota. W niniejszych czterech zeszytach zawierają się początkowe arkusze tłumaczeń tych wszystkich prac i przytém niekażdy zeszyt zawiera wszystkie te utwory, lecz początek lub ciąg dalszy jednego albo dwóch. Taki system ma swoje niedogodności, do których należy i trudność wydania ogólnego sądu przed ukończeniem całości. I to jeszcze można zarzucić, że najcenniejszemu z wybranych utworów — Szkicom Macauleya — jak dotychczas, poświęcono najmniej miejsca. Zawsze jednak, o ile już sędzić można, dobór jest pouczający, a przekład dobry, wydanie porządne i cena niewysoka. Miłośnicy poważnego czytania zyskują tu cenny nabytek na długie jesienne i zimowe wieczory.

3. ŹRÓDŁA DZIEJOWE. TOM II. *Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII wieku.* Wydał Adolf Pawiński. Warszawa 1876. Cena rs. 1 k. 25. Po listach i mowach Grzymułtowskiego wraz z jego życiorysem, stanowiących tom I Źródeł dziejowych, nastąpił niniejszy tom drugi, poświęcony rzeczom zupełnie nowym i prawie nieznanym. Ostatnie wykazy ludności ormiańskiej na ziemiach dawniej Polski podają bardzo szczerze liczby. Dość powiedzieć że liczy się niewiele jak 140 Ormian w samym Lwowie, gdzie istnieją jednak dotąd katedra i metropolia ormiańska, raczej już jako zabytek historyczny,

niż jako rzecz istotnej potrzeby. Ztąd widać że ludność ormiańska, pod względem języka, obyczajów i obrządku, złała się już prawie z masą ludności krajowej. Potężnym czynnikiem tej asymilacji była unia kościelna z Rzymem, przyjęta przez kościół ormiański w Polsce za panowania Jana Kaźmirza, Michała i Jana III Sobieskiego, chociaż pierwsze kroki na tej drodze sięgały epoki Zygmunta III, a nawet jeszcze dawniejszej. Dzieje tej unii wydawca odszukał w dwóch rękopisach wysłańców stolicy apostolskiej, ks. Pidou po włosku i bezimiennego po łacinie skróślonych. Obydwa rękopisma, piękną polszczyzną przetłumaczone, stanowią treść książki. Oprócz dziejów samej unii i przeszkód, które ją spotykały, znajdujemy tu ciekawy zarys historii i religii Ormian, wykaz różnic dogmatycznych i osobliwych heretyckich, według autorów, mniemań; dalej obraz obyczajów epoki, a przeważnie duchowieństwa i mieszczaństwa lwowskich, stosunków z dworem królewskim, a także ciekawe regulaminy i szczegółowy program kolegium duchownego, staraniem Rzymu we Lwowie utrzymywanego, głównie przez księży teatynów. W ogólności książka to bardzo ciekawa i czyta się ją (pomimo że drugi rękopis powtarza wiele szczegółów z pierwszego) z przyjemnością. Sporo tu materiału nietylko dla duchownych i nietylko dla historyków kościoła.

4. KURS NAUKI JĘZYKA POLSKIEGO DLA ODZIAŁU GŁUCHONIEMYCH W WARSZAWSKIM INSTYTUCIE GŁUCHONIEMYCH I OGNIEMNIAŁYCH, ułożony przez radę pedagogiczną tegoż Instytutu. Klasa czwarta. Warszawa, 1876 rok. Cena rubel 1. Według przyjętej w Instytucie metody, nauka języka polskiego dla głuchoniemych podzieloną została na 6 kursów. Kurs pierwszy ma na celu wydobyć dźwięków z piersi upośledzonych od natury dzieci, jest więc nie gramatyką, lecz nauką wyrazów. Kurs drugi jest dalszym ciągiem tej nauki, a nadto zawiera naukę odmian słowa posilkowego i innych słów, ułatwiających układ zdań najprostszyc. W kursie trzecim, najtrudniejszym, zawierają się dopiero odmiany imion i słów, a podręcznik niniejszy, czyli kurs dla klasy czwartej przeznaczony, rozwija w dalszym ciągu naukę o słowie i szczegółowo zajmuje się przymiotnikami, liczebnikami, przymkami i przysłówkami. Są tu także i zasadnicze wiadomości o imiesłowach, które mają być uzupełnione w kursie piątym, poświęconym głównym zasadom składni. Szósty kurs ma zawierać streszczenie wszystkich poprzednich. Według tej metody, zapewne doświadczeniem wypróbowanej i stwierdzonej, niniejsza książka nie może być zupełnie przydatną do nauki dzieci, pełnią zdolności umysłowych obdarzonych. Wszelako, zdaniem naszym, i tacy uczniowie mogą z niej korzystać, zwłaszcza z sumiennie i szczegółowo opracowanych rozdziałów o przymkach i przysłówkach. Z natury swego przeznaczenia, niniejsza książka więcej musi zajmować się praktyczną stroną, wyjaśnianiem form i znaczeń, wzorami i przykładami, unikając drobniagowych klasyfikacji i pedantycznych sformatów. Zawiera też istotnie bogaty materiał praktyczny, i niekiedy tylko, jak n. p. w klasyfikacji przymków, zdaniem naszym, grzeszy zbyt sztucznym i naukowo mało uzasadnionym sformatyzmem. Dzieląc bowiem przymki na oznaczające miejsce, czas, materiał, części całości itd. (aż 22 wszystkich kategorii), z konieczności wypadło powtarzać jeden przymek pod kilkoma z tych rubryk, co bynajmniej nie ułatwia prawideł rządu przymków i nawet dla normalnie rozwiniętych dzieci byłoby niepodobnym do spamiętania. Znaleźliśmy także drobne usterki w podziale rzeczowników, w prawidłach stopniowania i w czasowaniach. Od podobnego jednak dzieła trudno wymagać wiele i niepodobna stosować do niego skali normalnej. W każdym razie owoc to sumiennej pracy i mozolnej praktyki, przydatny bardzo w domowym nauczaniu głuchoniemych.

(Dokończenie nastąpi.)